Nr. 8. Lwów — Wtorek dnia 12 Stycznia. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE we Lwowie . . . 4 ct. na prowincyi . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct. w Niemczech . . . 2 „ w innych państwach . . . 2 „

Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct. [illegible]

Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct. Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct. Ogłoszenia do *Przeglądu* przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: św. Honoraty P. | Jutro: św. Hilarego B. | Mel nyi [illegible] 1 Janoar 1897 | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca g. 7 m. 54 Zachód „ 4 „ 23 | Długość dnia g. 8 m. 29 Przybyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny

Lwów 11 stycznia.

Zapowiedziana na przeszły piątek rozprawa w sejmie pruskim nad interpelacyą centrum w sprawie rozwiązanych sejmików relacyjnych na Szląsku nie mogła się odbyć, bo wbrew zwyczajowi rząd odpowiedział na tę interpelacyę nie na początku, lecz na końcu posiedzenia. Oświadczenie ministra spraw wewnętrznych p. von-der-Recke brzmiało: „Rzeczywiście, rozwiązano niektóre zgromadzenia na Szląsku Górnym, bo były one polityczne, a rozprawiano na nich mimo to po polsku (Hochpolnisch), ta zaś mowa nie jest potoczna w owej prowincyi. Skuteczny nadzór nad zgromadzeniami jest potrzebny, a ponieważ rząd nie posiada stanu urzędniczego wykształconego poliglotycznie, przeto owe zgromadzenia musiały być rozwiązane. Rząd nie zezwoli na uszczuplenie prawa, które daje mu środki kontroli nad zebraniami, raczej postara się o jego rozszerzenie. Prawo zgromadzania się bynajmniej nie jest tak absolutne, iżby przy niem wszystkie inne prawa stawały się illuzorycznemi. Prawo nadzoru nad związkami musi w tych poważnych czasach być wykonywane nader energicznie".

Ten „rozkaz dzienny" — jak owo oświadczenie nazywa *Freisinnige Ztg* — wywołał oburzenie na ławach centrum, stronnictw narodowych, postępowych i socyalistycznych. Smutne to, że rząd monarchiczny zmusza stronnictwa tak różne przekonaniami łączyć się w obce opozycyjny i na wniosek górnoszlązkiego posła Lotochy uchwalić dyskusyę nad tem oświadczeniem przeprowadzić na posiedzeniu następnem. Mimowoli nasuwa się pytanie: kto ostatecznie skorzysta z takiego postępowania rządu — król, czy socyalistyczny Pankracy? Po oświadczeniu pana von-der-Recke, to wykręt pieniacza. Najpierw tedy nie „niektóre" tylko, ale wszystkie trzy sejmiki relacyjne rozwiązano, innych zaś rzeczywiście nie rozwiązywano, bo ich wcale nie było, ani polskich, ani niemieckich. Następnie nie ma żadnego języka „Hochpolnisch", jest tylko jeden polski, jak jeden niemiecki, ale w tym sensie zdaje się, jak w niemieckim, francuskim, włoskim, są prowincyonalizmy, a jeden z nich tworzy dyalekt szląski. Konstytucya nie zakazuje porozumiewać się posłom z wyborcami w języku literackim, gdyby zaś rząd, chcąc samowolnie, ale konsekwentnie, chciał zaprowadzić taki przepis, to rozwiązywałby zgromadzenia w Turyngii, Szwabii, Brandenburgii i t. d., bo tamtejsze narzecza są zupełnie niezrozumiałe dla [illegible]. Dalej pan von-der-Recke powiedział, że rząd nie posiada poliglotów między urzędnikami, a prawa nadzoru nad zgromadzeniami nie kwituje, przeto pozostaje mu tylko rozwiązywać zgromadzenia. Zwoływanie sejmików relacyjnych, to zaś, że urzędnicy w kraju polskim nie umieją po polsku, jest fantazyą rządu, nieopartą na żadnym konstytucyjnym przepisie. Więc prawo ma ustępować przed fantazyą. Komu dano atrybucye nadzorowania zgromadzeń przez urzędników i pieniądze na urzędników, ten sam winien, jeśli nadzorować nie umie, a winien w dwónasób, jeśli naprawia własną nieudolność gwałceniem cudzych praw. Powiedział następnie p. von-der-Recke, że „prawo zgromadzania się nie jest tak absolutne, iżby przy niem wszystkie inne prawa stawały się illuzorycznemi". Co to znaczy? Jakie to są sieczny dwa prawa? — jedno tylko było i właśnie je zgwałcono, a ponieważ tak dzieje się prawie stale w państwie, przesiąkniętem się bojaźnią Bożą i dobrymi obyczajami, przeto frazes pana von der Recke trzeba tak obrócić: „prawo siły jest tak absolutne, że przy niem wszystkie inne prawa stają się illuzorycznemi".

Napomknął p. von der-Recke, że rząd może postara się o rozszerzenie prawa nadzoru nad zgromadzeniami. Przypomina to kilkakrotną wiadomość o opracowywaniu przez rząd projektu takiej ustawy o wszelkich zgała publicznych zgromadzeniach, iżby na nich wolno było mówić tylko po niemiecku. Będzie to nadzwyczajne rozszerzenie przywilejów tak zwanego „języka państwowego", chociaż żaden mędrzec jeszcze nie określił, co to za język, po co on i czy jest jakakolwiek legalna podstawa do żądania, aby znał go każdy. Taki monopol jest jedynym oryginalnym pomysłem naszych czasów. Nie znała go ani starożytność, ani wieki średnie, ani nowe czasy, aż dopiero wprowadził go ostatni peryod systematycznej i stałej rewolucyi przeciw prawom boskim i ludzkim, nie wiadomo, na czyją korzyść. I jak wszystko, co wymyślono w tym peryodzie, tak i ów monopol wydaje najgorsze skutki. Germanizowane Alzacya i Lotaryngia wzdychają do Francyi, uciskani Duńczycy i Polacy z niechęcią odwracają się od Niemiec, gnębieni Kreteńczycy i Ormianie rozsadzają Turcyę, a Francuzi genewscy, Włosi w południowych kantonach szwajcarskich ani myślą tworzyć irrydenty, są najlepszymi obywatelami państwa helweckiego, ale bo też w Szwajcaryi nie ma państwowego języka i nikt tam nikogo nie gnębi za narodowość.

Przyjęto wniosek posła Lotochy, aby rozprawę nad odpowiedzią ministra przeprowadzić na posiedzeniu następnem. Jakoż odbyła się ona w sobotę. Rozpoczął ją postępowiec Munkiel mową tak ostrą, że tylko niepotrzebnie rozdrażniła przeciwników. Słusznie wytknął on to, że postępując konsekwentnie, rząd mógłby na tej samej zasadzie rozwiązywać wszelkie zgromadzenia niemieckie, albowiem na nich używane są cudzoziemskie i prowincyonalne wyrazy, których nie rozumieją urzędnicy, będący z reguły ludźmi bez wykształcenia; ale całkiem niepotrzebnie zaczął tu wyszydzać stan urzędniczy, a już zgoła niedorzecznością było z jego strony dowodzić, że Słowianie w Austryi, a Madyarzy na Węgrzech uciskają Niemców, i zapatrując się na eksterminacyjną politykę rządu pruskiego, zaczną uciskać jeszcze dotkliwiej, lecz przynajmniej będzie w tem jakaś logika, podczas gdy Prusy postępują z Polakami zupełnie bezmyślnie. Następnie drugi postępowiec Rickert ganił i „wielkopolską agitacyę" i politykę rządową, która właśnie zrobiła Szlązaków Polakami. Bismark jest twórcą silnego prądu narodowego w całej wschodniej części państwa, więc najrozumniej byłoby postępować zupełnie inaczej, niż Bismark. Członkowie centrum Stephan, Kirsch i Dasbach wykazywali nielegalność rządowego czynu, a junkier Haydebrand, liberał Krause i wolnokonserwatysta Zedlitz nietylko chwalili rozporządzenie ministra, ale zachęcali rząd do ostrego traktowania Polaków. Członkowie Koła polskiego pp. Motty i Wolczyk zaprzeczyli istnieniu na Szląsku agitacyi wielkopolskiej, poczem na zakończenie rozprawy oświadczył p. von-der-Recke, że rząd nie zmienił swych zapatrywań i jak dotąd, tak i w przyszłości będzie surowo tępił narodową agitacyę.

Wkrótce potem jeszcze na chwilę wróciła „debata polska". Przy obradach nad szkołami uzupełniającemi, poseł ks. Jażdżewski zażądał, aby w nich dla uczniów polskich był polski wykład. Na to odparł minister handlu Brefeld, że „językiem życia publicznego i szkoły jest język niemiecki i być inaczej nie może", a wolnokonserwatysta Zedlitz ze śmiechem zawołał: „Daliście Polakom w roku przeszłym wolność nadobowiązkowego uczenia się po polsku i oto widzicie, jak rosną ich pretensye!"

Większość w obu wypadkach była po stronie rządu. Za sprawiedliwością głosowali tylko katolicy, Polacy, jeden Duńczyk i dwóch postępowców, Munkel i Rickert.

Na Wołyniu, w miastach powiatowych Ostrogu i Równem przed laty zamknięto katolickie świątynie i pozwolono odprawiać nabożeństwa w maluczkich kaplicach cmentarnych. Daremne były usilne zabiegi o pozwolenie na otwarcie kościołów i o ich odbudowanie. Aż dopiero teraz, jak głosi miejscowa odezwa, „wszelkie formalności ze strony wyższych cywilnych i duchownych władz, a także i miejscowej administracyi zostały przezwyciężone. Z wiosną rozpocznie się budowa kościołów. Ktoby chciał okazać materyalne poparcie w tej sprawie, może się zgłosić do miejscowych proboszczów".

Zapisać to trzeba na rachunek pomyślnego zwrotu w petersburskim rządzie ku sprawiedliwemu traktowaniu katolickich potrzeb. Nietylko pozwolenie na otwarcie kościołów, ale pozwolenie na zbieranie składek, jest faktem, któremu przeczyć nie można. Skoro młody rosyjski monarcha daje dowody zacnych uczuć, których posiew da mu piękne żniwo, to może kto mu przypomni, że w kilka miesięcy po pamiętnej rzezi krożańskiej Orżewski polecił tajnym listem Klingenbergowi wysadzić kościół w Krożach dynamitem. Rozkaz ten spełniono w nocy. O tym fakcie dotąd nikt nie śmiał się odezwać, bo za mówienie o tem zagrożono miejscowym mieszkańcom wysyłką na Sybir. Nas nie dosięgnie samowola Orżewskiego, a może ten fakt, przez nas podany, dostanie się do wiadomości Mikołaja II — i dlatego o tem tu wspominamy.

Stempel i kwestya konstytucyjna.

Piszą nam z Wiednia, 10 stycznia:

Niemiecka większość w sprawie cylejskiej, „słowiańska" większość w sprawie szkoły Komeńskiego, konserwatywna większość w sprawie stempla dziennikarskiego — oto trzy odmienne kombinacye, które się w ubiegłym tygodniu zaznaczyły na szachownicy parlamentarnej. Twierdzić, że zachowanie stempla od dzienników samo przez się jest postulatem konserwatywnym, byłoby błędem. *Przegląd* w tym względzie przytoczył bardzo ważne argumenta, przemawiające przeciwko zatrzymaniu tego stempla, tutaj katolickie stowarzyszenie dziennikarzy przesłało izbie petycyę o zniesienie stempla, za czem przemawiają gorliwie niektóre dzienniki katolickie.

Skoro jednak komisya budżetowa przygotowała znany wniosek, według którego stempel od dzienników ma być zniesiony dopiero 1 stycznia r. 1898, i skoro minister skarbu oświadcza, że zgadzając się zasadniczo na tę zmianę, musi jednak obmyśleć środki pokrycia ubytku, zanim przyzwoli na wykreślenie z dochodów owej pozycyi 2 milionów zł., — odrzucenie wniosku Kronawettera, który usiłował przeforsować reformę, stawało się obowiązkiem konserwatyzmu. Powstała przeto ta większość konserwatywna, czy umiarkowana, czy ministeryalna, która powstaje zawsze na tle kwestyi nie narodowościowych, lecz politycznych: większość złożona z Koła polskiego, klubu Hohenwarta, niemieckiej lewicy (z wyjątkiem kilkunastu radykalniejszych członków) i katolickiego stronnictwa ludowego. Pokazało się znowu, że chociaż *in dubiis* większość parlamentarna chwieje się to jednak gabinet, skoro czegoś żąda stanowczo może liczyć zawsze na większość w parlamencie teraźniejszym.

Dlatego właśnie byłoby dziwacznym zbytkiem poruszać pod sam koniec tak dramatycznej kadencyi 6-letniej spory konstytucyjne, a zwłaszcza stary i przedawniony spór, a raczej kazuistykę co do prawa parlamentu odrzucenia budżetu? Spór ten przed 35 laty toczył się na najszersze rozmiary w parlamencie berlińskim, przez 3 lata coraz bardziej rozmiętniał się, mowy z jednej strony Bismarka, z drugiej Gneista, Syble, Carlowitza, Schwerina, Virchowa, Waldeka itd. o tej teoretycznej kwestyi zapełniają grube tomy (które mamy pod ręką w publikacyi radzcy Hahna), ostatecznie jednak rozstrzygnęły — fakta. Zwycięstwa w wojnie niemieckiej r. 1866 walkę o teoretyczne kompetencye parlamentu pozbawiły wszelkiej doniosłości.

Jeżeli nagle pp. Kronawetter i Pernerstorfer ulegli pokusie poruszenia w parlamencie austryackim tej starej kwestyi spornej, która wobec praktycznych potrzeb życia państwowego wszędzie ustąpiła z widowni politycznej, anachronizm był tem bardziej rażący, skoro zwłaszcza po oświadczeniu hr. Kuenburga nie ulegało wątpliwości, że Izba znaczną większością uchwali pozycyę dochodów od stemplów, a zatem nie będzie żadnego pretekstu do konfliktu pomiędzy kompetencyą parlamentu a kompetencyą gabinetu.

Z dzienników tutejszych tylko trzy: *N. Fr. Presse*, niemiecko-narodowa *Ostdeutsche Rundschau* i naturalnie *Arbeiter-Zeitung* usiłują dzisiaj przedłużyć dyskusyę konstytucyjną, poruszoną wczoraj przez pp. Kronawettera i Pernerstorfera, ale nie umieją przytoczyć nic innego, jak komunały bez aktualnej wartości. Minister skarbu dr. Biliński wcale nie negował budżetowej kompetencyi parlamentu (który to wyraz obejmuje jednak obie Izby, a nie oznacza w pojęciu prawno-politycznem wyłącznie Izby poselskiej), ale nawet przyznając tej kompetencyi najszersze rozmiary, trudno zgodzić się na to, aby za pomocą uchwały, zapadłej *en passant* w rozprawach nad budżetem, parlament mógł unieważniać stare i stałe ustawy o pewnych podatkach.

Korespondencye.

Wiedeń 8 stycznia.

(i) Jak było do przewidzenia, małe wykolejenie parlamentarne z okazyi gimnazyum słoweńskiego w Cilli nigdzie i po żadnej stronie głębszego nie wywarło wrażenia. Nie płaczą zwyciężeni w tej utarczce, nie tryumfują zbytnio zwycięzcy, a po obu stronach panuje przekonanie, że gimnazyum w ciągu roku szkolnego dla dalszej nauki uczęszczających doń uczni dalej istnieć musi i że o przyszłości jego dopiero sama przyszłość, a nie wtorkowy przypadek rozstrzygać będzie. Tylko *Neue Freie Presse* upatruje w onem wtorkowem głosowaniu wielki dowód siły Niemców w Austryi. Byłoby, naszem zdaniem, smutnem i dla państwa niepożądanem, gdyby się siła żywiołu niemieckiego w Austryi tylko w ten sposób, t. j. przypadkiem, objawiać miała. Ale jest doprawdy pożałowania godnem, że się ta siła tak często i z konsekwencyą lepszej godną sprawy, na takich drobnostkach, jak kwestya gimnazyalna w Cylei, zużywa. Liberalna prasa prowincyonalna, która się już od dłuższego czasu z pod wpływów zbyt absolutnych prasy stołecznej wyzwala i na wyrocznię z Fichtegasse (t. j. *Nową Pressę*) mniej zważa, inne też w tej sprawie zajęła stanowisko. Tak n. p. „*Silesia*" zastrzegła się bardzo słusznie przed rezultatami tego rodzaju przypadkowych głosowań i półgodzinnych większości, któreby dziś pozycyę gimnazyum w Cylei, a jutro może uniwersytetu w Wiedniu, z budżetu wykreślić mogły! Z całego tego wtorkowego epizodu — na który odpowiedziała zresztą we czwartek inna większość, wzywająca rząd, by się zajął sprawą nadania prawa publiczności czeskiej szkole Komeńskiego w Wiedniu — pozostaje tylko jedna nauka, że potrzeba większej dyscypliny i rygoru w pojedyńczych klubach i że posłowie pilniej obowiązków swych przestrzegać winni. Inaczej musi w parlamencie rządzić ślepy przypadek. Czy zajdą jeszcze jakie tego rodzaju przypadki w ciągu dobiegającej kresu sesyi? Na pozór zdawałoby się że nie, bo i po stronie rządu i po stronie izby znać chęć szybkiego zakończenia sesyi i rozwiązania parlamentu. Zresztą izba ominęła już najdrażliwszą i najdłuższe zawsze wywołującą dyskusye pozycyę, uchwaleniem etatu ministerstwa oświaty i załatwienie reszty budżetu w szybszem chyba pójdzie tempie. Dzienniki donoszą, że prócz budżetu wejdzie już pono tylko na porządek dzienny nowa ustawa kongrualna. Byłoby to słusznem i pożądanem uzupełnieniem całego operatu ustawodawczego, regulującego płace urzędnicze. Ale zależeć to będzie oczywiście od tempa budżetowych rozpraw, bo czas nagli. A mimo widocznej apatyi, która zapanowała w izbie, wobec dobiegającego jej kresu życia, zbytniej wymowy niektórzy posłowie przecież pohamować nie mogą. Są to często mowy pożegnalne.

Z taką mową pożegnalną wystąpił profesor Suess, którego przyszły parlament już w gronie swem nie znajdzie. Za temat łabędziego śpiewu obrał sobie rzeczony poseł szkołę ludową. Ustawodawstwo szkolne austryackie mogą jedni uważać za doskonałe, inni za bardzo wadliwe. Ci drudzy mogą pierwszym koncesyę w przyznaniu zrobić, że dziś nie jest chwila po temu, aby to ustawodawstwo naruszać i zmieniać. W każdym razie apologeci ustawy z 1869 r. innychby musieli użyć argumentów, by doskonałości dzisiejszej szkoły ludowej i jej owoców dowieść. Profesor Suess poprzestał na szczególnych zestawieniach statystycznych, dotyczących n. p. zmniejszenia liczby karanych zbrodni od czasu nowego ustawodawstwa szkolnego i tym podobnych przestarzałych i niedowodzących w gruncie niczego dowodów.

Mowa jego, trwająca przeszło dwie godziny, była przecież jeżeli nie znacząca, to w każdym razie bardzo znamienna. Bo była ona nowym dowodem, jakim anachronizmem stał się dziś ten liberalizm, do którego cechu mówca należy. Parlament przyszły, jeżeli normalnym pójdzie torem, sięgnie aż w wiek przyszły. To też będzie jego sygnaturą. Będzie w nim miejsce dla żywiołów zachowawczych i radykalnych. Ale nie będzie miejsca dla tego namaszczonego braku zasad, któremu profesor Suess dał wyraz w swej mowie. Bo ta mowa to był ostatni połysk tego zamarłego liberalizmu, płomyk blady, przy którym się już nikt oświecić lub ogrzać, zaledwie sparzyć może. Mniejsza o to, że mówca zamknął tą mową swą własną publiczną karyerę; mową tą liberalizm ostatnie swe słowo powiedział, a słowo to było skonstatowaniem, że w Austryi nie ma już rzekomo żadnej łącznej „idei." To skonstatowanie jest szczytem politycznego bankructwa. Z bliższych kolegów ustępującego z widowni parlamentarnej prof. Suessa wróci pewno wielu do nowej Izby. Ale racyę bytu w niej mieć mogą tylko, jeżeli w przekonaniu o braku idei na podstawie dawnego liberalizmu, którego już nikt nie wskrzesi, a którego brak zasad wyrobił, poszukają innej, łatwej do znalezienia. A tą jest idea państwowa austryacka.

---

15)

ZOFIA KOWERSKA.

DLA ANUSI

OPOWIADANIE.

(Ciąg dalszy.)

Oczy wszystkich utkwione były we mnie, a ja byłem niezmiernie kontent z wywołanego wrażenia. Ta Eliza miewała jednak doskonałe pomysły!

Wymawiałem się niezręcznie, przeczyłem niezgrabnie. Ja o żadnym pojedynku nie myślałem, ale każdy przysięgał mnie, że są czasem konieczności... że są takie węzły, które rozciąć można tylko, polawszy je krwią...

Chciałem zobaczyć, co Anusia myślała o mojem bohaterstwie, i spojrzałem na nią. Miała wlepione we mnie oczy przerażone, bezprzytomne, wyrażające taką boleść, żem aż struchlał. Oczy te wyrażały także i wielkie przywiązanie.

Dopiero w tej chwili uczułem głęboko, że Anusia mię kocha. Przypuszczałem to, radując się chwilami, to się znowu tej miłości bojąc; ale dopiero teraz przyszło mi przeświadczenie i pewność, która mię wzruszyła do głębi duszy i tak nią wstrząsnęła, żem nagle spoważniał i stanąłem w obec uczucia Anusi, jak człowiek, który po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę z tego, czem może być miłość głęboka i wielka.

Dałem towarzystwu najświętsze słowo honoru, że nikt się pojedynkować nie myślał, ani ja, ani żaden z moich przyjaciół. Spojrzenie Anusi zapadło mi w duszę. Pragnąłem ze wszystkich sił znaleźć się sam z sobą w jakim kącie, w którymby mię nikt nie widział, i rozejrzeć się znowu dokładnie w tem okropnem położeniu, w którem się znajdowałem. Znowu pragnąłem się namyślić! Cztery dni siedziałem u Wicka, namyślając się, i czułem, że te cztery dni na nic mi się nie przydały. Byłem w gorszem położeniu, niż przedtem, na gorszem rozdrożu, zbłąkany zupełnie!

Ach, cóż ja za noc przebyłem! I nieprzyjacielowi takiej nie życzę! Myślałem, że się nigdy nie skończy. A gdy się skończyła, zaświtał taki jasny, taki wesoły ranek, jak gdyby nie było na ziemi takich ludzi, którym niepokój oka zamknąć nie pozwolił. Com ja się tej nocy nie narozmyślał! I nie wymyśliłem nic. Tom sobie mówił o tych stu tysiącach i zdawało mi się, że ani grosza nie ustąpię, to mi się znowu chciało biedz ku Anusi, paść przed nią na kolana i powiedzieć jej, że ją kocham, że chcę być jej mężem, i pleść tym podobne komunały, które się na całej kuli ziemskiej powtarzają od początku świata. Ale przecie i Wicek, i ja daliśmy sobie słowo... Ach, cóż ta Anusia umiała wypowiadać oczyma! To jej spojrzenie, gdy myślała, że mi grozi pojedynek, to był poprostu krzyk rozpaczy i miłości! Anusiu moja, Anusiu, ja ciebie tak kocham, iż jestem zupełnie zdziwiony, że ty nie masz tych stu pięćdziesięciu tysięcy reńskich, które pragnąłem wraz z żoną wprowadzić do Michniewa! A coby też było, żebym się ożenił z Anusią ubogą? Musielibyśmy pracować bardzo, odmawiać sobie wielu, wielu rzeczy... Ale kto wie, możebyśmy byli szczęśliwi?... Nie, nie: i Wicek, i ja znamy się przecie doskonale na tem, daliśmy sobie słowo...

Słońce, z wielkiej, poważnej kuli, która na niebo wypłynęła, zrobiło się już małe i oślepiające; w pokoju było mi duszno; wyszedłem do ogrodu. Nogi moje same powiodły mię do altany, do naszej szkoły. Czegóż to ja w niej nauczyłem Anusię? Ach, przecie gdym prawie od pierwszego dnia jej przybycia rozpoczynał z nią ten flirt, który nazywałem niewinnym, bowiem nie miał się skończyć małżeństwem, przecie już wtedy uczyć ją zacząłem nie czego innego, tylko miłości! Wprawdzie miłości malutkiej i drobnej, powierzchownej, mizdrzącej się, w mizernym gatunku, takiej, co to ją miłostką nazywają, ale zawsze miłości, a przynajmniej czegoś, co należy do jej rodzaju. Chciałem Anusię nauczyć malutkiej i mizernej, a ona ją od razu pojęła wielką i głęboką! Są tacy uczniowie, co to od razu prześcigają swych nauczycieli i znajdują głębinę tam, gdzie ich mistrzowie widzieli tylko powierzchnię! Ale któż mógł wiedzieć, że siedemnastoletnie dziecko tak z dnia na dzień w kobietę przemienić się jest zdolne? Anusia nic o miłości nie wiedziała, trzymano przed nią w tajemnicy samo istnienie tego uczucia, którego biedne dziecię nieprzygotowane, nieświadome, stało się pastwą, samo nie wiedząc, kiedy.

Idąc ścieżką ku altanie wśród drzew, spostrzegłem jasną suknię kobiecą. Serce zabiło mi gwałtownie, poznałem Anusię. Skryłem się do altany. Ja się bałem tej dziewczyny, a przynajmniej pragnąłem nie pokazać jej mojego pomięszania i zupełnej utraty równowagi! Nic nie pomogło; Anusia szła prosto ku altanie. Miała główkę zwieszoną ku ziemi, kroki jej były powolne, coś w całej jej postaci mówiło o niezmiernem przygnębieniu. Nie widziała mię, ale ja przez gęstwinę grabów widziałem ją wybornie. Była bardzo blada, a oczy jej miały sine obwódki.

Stanęła wreszcie na progu altany i spostrzegła mię nagle. Wtedy łuna rumieńca objęła jej twarz tak raptownie, zmieszanie ogarnęło ją takie, że aż się zachwiała. Biedactwo nie wiedziało, co z sobą zrobić, nie mogło ołowianych powiek podnieść od ziemi, nie miało siły przemówić, choć drżące usta usiłowały się poruszyć. Była, jak ptak złapany, ale i ja nie więcej miałem przytomności. Przecie było bardzo prostą rzeczą powiedzieć Anusi dzień dobry, jednak ja nie uczyniłem tego i stałem naprzeciwko niej, jak winowajca, bo nie chcę powiedzieć, jak głupiec.

— Anusiu — szepnąłem wreszcie, chwytając pierwszą lepszą myśl, jaka mi się nadarzyła, — będziecie miały śliczny dzień na podróż. Eliza zawsze boi się deszczu... dziś będzie niezawodna pogoda!

Podniosły się ku mnie smutne oczy, od wejrzenia których i moją pierś przeszyło cierpienie.

— Czy dzień jest ładny? — zapytała — doprawdy nie uważałam.

Obejrzała się w koło.

— A, prawda, ładny! — dodała — mnie się jednak wydawał jakiś pochmurny.

— Chyba, że w twojej duszy jest smutno, Anusiu?

Nie odpowiedziała, ale jej oczy spuściły się znowu pod moim wzrokiem.

— Tobie żal opuszczać Michniew, prawda? Tybyś wolała zostać jeszcze z nami?

Skinęła głową twierdząco i zarumieniła się znowu. Mnie zaczynał ogarniać szał silniejszy, niż wola, niż postanowienie, niż wszelka ostrożność.

— A co ja tu pocznę bez ciebie? — zawołałem.

Nim Anusia zdołała odpowiedzieć, głos Elizy ozwał się bardzo blisko nas:

— Anusiu, Anusiu!

Anusia drgnąwszy, wybiegła z altany.

— Co ty robisz? — ozwała się Eliza głosem niezadowolenia. — Torba jeszcze niezapakowana! Mydło moje już obeschło i można je w papier zawinąć. Idźże prędzej, bo się spóźnimy na pociąg!

Eliza była w takiej gorączce, że nie mogła zauważyć zmieszania Anusi.

— Co ty tu robiłaś w ogrodzie? — zapytała.

— Żegnałam się ze wszystkiem — odparła Anusia.

Ja ukryłem się spiesznie w gąszcze grabiny.

Nie wiem, co ta miłość ma do siebie, że choćby nic złego nie robiła, boi się, tai, chowa się i zaraz szuka kłamstwa i wybiegu. Byłem przekonany, że Anusia, nawet ta przezroczysta jak woda krynicy Anusia, była zadowoloną, że Eliza nie weszła do altany i mnie nie zobaczyła. Kto wie, czy gdyby Eliza była zapytała: „Czy tam jest kto w altanie?" Anusia nie byłaby odpowiedziała: „Nikogo nie ma". No, nie wiem, może zresztą Anusia byłaby powiedziała prawdę, ale ja na jej miejscu byłbym skłamał z pewnością!

Patrzałem, rozchyliwszy gałęzie, za odchodzącą Anusią i zdawało mi się, że leży za nią jakaś smuga świetlana.

Opanowało mię teraz jakieś rozkoszne szaleństwo, leżące w pragnieniu zdobycia zupełnie Anusi, nazwania jej moją na wieki! I niech ona mi nie opuści Michniewa z tą rozpaczą w duszy, z tym bezmiernym smutkiem w oczętach! Niech jej się dzień jasny i pogodny nie wydaje pochmurnym i niech będzie szczęśliwa, szczęśliwa! O, ona nie pojedzie dziś! Nie pojedzie, choćbym miał położyć się na drodze przed końmi uwożącemi ją. Zwalczę samą nawet Elizę! Nie zmieniała nigdy postanowień, więc jej się to zdarzy po raz pierwszy w życiu. Zostanie, zostanie, bo ja zanadto pragnę jednej tylko godziny samotności z Anusią! Musi mi dziewczyna powiedzieć wyraźnie, ustami to, co mi już powiedziały jej rumieńce, jej spuszczone oczy i ten gniew kobiecy, który ogarnął nagle jej dziecięcą duszę. I niech mi ona będzie wesoła, niech jej buzia odzyska rumieńce i śmiech, jej czoło pogodę!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Berlin 4 stycznia.

W kraju katolickim, jak wasz, nie ma się wyobrażenia o tem, jakiemi pustkami świecą kościoły protestanckie. A już prym pod tym względem wiedzie Berlin. Jest to następstwem tego, że starano się luteranizm uczynić religią więcej niemiecką niż chrześcijańską, i tworząc z niej instytucyę państwową, zepchnięto na drugi plan potrzebę wspólnej modlitwy. Cesarz Wilhelm jednak stara się swym poddanym przyświecać dobrym przykładem. Ile razy bawi w stolicy, co niedzieli udaje się rano o godzinie 11-ej do kaplicy pałacowej. Na nabożeństwa te przychodzić mogą nietylko najwyżsi urzędnicy państwa, lecz zaszczytu tego dostępuje i wiele osób prywatnych. Od czasu jednak jakiegoś ograniczono wstęp osób prywatnych przez to, że upoważniono do tego tylko osoby, mające bilety wstępu. W rozdawnictwie zaś tych biletów kieruje się obecnie kancelarya dworska ogromną oszczędnością. Powodem tego ograniczenia był, jak mówią, sam cesarz.

— Od chwili, w której wchodziłem do kościoła — rzekł raz cesarz Wilhelm do jednej z osób zaufanych — doznawałem zmęczenia, czując setki oczów nieustannie na siebie skierowanych. Pragnąłem choć na chwilę w czasie nabożeństwa niedzielnego pozostać w samotności i skupieniu. Ci z moich poddanych, którzy chcą mnie oglądać, mogą codzień mieć tę przyjemność, zatrzymując się na drodze, którą przebywam bądź konno, bądź w powozie.

Słowa te, których autentyczność zdaje się nie podlegać wątpliwości, rzucają dość niespodziane światło na charakter niemieckiego monarchy, który niedawno położył tamę wymowie kaznodziei nadwornych. Co prawda, kaznodzieje pałacowi nie posiadali sztuki streszczania swych myśli, albowiem sztuka ta zdaje się być w ogóle niedostępną umysłom niemieckim. Nad brzegiem Sprewy oratorowie lubią puszczać wodze swej wymowie, a długość oracyi stosują do wielkości stanowiska słuchaczy, zgromadzonych u stóp kazalnicy. Superintendent i kapelani, miewający z kolei kazania w obecności cesarza Wilhelma, rywalizowali z sobą, by dysertacyom religijnym nadawać jak największe rozmiary, nie troszcząc się, iż opóźniają obiad rodziny cesarskiej. Niedawno cesarz Wilhelm stracił cierpliwość i wydał rozporządzenie, iż kazania, wypowiadane w kaplicy pałacowej, mogą trwać minut dwadzieścia, ani minutę krócej lub dłużej.

Wiadomo, że cesarz lubi żeglugę, i z przyjemnością jej używa. Dość znaczną część roku spędza on też na pokładzie swojego yachtu „Hohenzollern“, odbywając krótsze i dłuższe wycieczki. Ale i podczas tych wycieczek nie zapomina cesarz o służbie Bożej. Ceremonia, odprawiana w niedzielę na pokładzie parowca „Hohenzollern“, przypomina *mise en scene* jednej z oper wagnerowskich. Załoga, składająca się najmniej z 300 osób, zbiera się na pokładzie i zajmuje trzy boki dużego kwadratu. W środku mieszczą się fotele dla cesarza i jego rodziny. Po lewej stronie ustawia się świta, po prawej orkiestra, złożona z 50 muzykantów i chór ze 100 śpiewaków. Po wejściu cesarza orkiestra wykonywa krótki utwór, a potem następuje śpiew majtków, który rozpoczyna nabożeństwo właściwe.

Jeden z naocznych świadków takiego okrętowego nabożeństwa, niejaki Gussfeld tak opisuje swoje wrażenia w *Deutsche Rundschau*:

„Chór przy akompaniamencie instrumentów dętych — czytamy tam — wykonywa pieśń: „Bóg jest naszą fortecą“, potem wśród głębokiej ciszy, przerywanej tylko uderzeniami wioseł statków norweskich, które przypłynęły, by asystować nabożeństwu niedzielnemu, cesarz donośnym głosem czyta ustęp Ewangelii i w krótkiem kazaniu wyjaśnia jej tekst.“ Z powyższego możnaby wnioskować, iż cesarz po odczytaniu Ewangelii improwizuje kazanie.

Wydaje się to bardzo prawdopodobnem, bo ostatnia podróż na „Hohenzollernie“ trwała cztery tygodnie, a ponieważ nie było pastora na pokładzie, cesarz Wilhelm byłby musiał zabrać z sobą cały zapas z góry przygotowanych kazań. Jedna rzecz tylko nie ulega wątpliwości, iż cesarz Wilhelm nie mówi nigdy dłużej niż minut dwadzieścia t. j. przestrzega sam rozporządzenia, wydanego dla innych.

„Pewnego dnia — pisze współpracowniczka *Quiver* — delegacya berlińskiego Yacht-klubu zaprosiła cesarza na regaty, które miały się odbyć w niedzielę rano. Cesarz odmówił, ponieważ chciał być o zwykłej porze w kościele. Delegacya prosiła, by sam wybrał najdogodniejszą dla siebie godzinę. Cesarz odrzekł na to, iż jego zasady nie pozwalają mu uważać niedzieli za dzień odpowiedni na wyścigi i wogóle na zabawy publiczne“.

Z niedzieli okrętowych przechodzę na t. zw. „niedziele złote“. Mianem tem ochrzczono 3 niedziele przed Bożem Narodzeniem, gdyż służą one do gromadzenia złota. Bo też nigdzie na świecie nie jest tak rozpowszechnionym zwyczaj dawania sobie podarunków na gwiazdkę jak w Niemczech. Co się w tych kilku dniach przedświątecznych tutaj dzieje, to przechodzi niemal wszelką imaginacyę. Ruch jaki panuje wtedy, nie do opisania, tak, że ostateczność tylko może zmusić człowieka obcego do wejścia po cokolwiek do sklepu.

Tłumy przepływają przez sklepy, wynosząc istne sterty pak i paczek. Poczta w tym czasie upada pod naciskiem szalonego zapotrzebowania na przewożenie paczek i wzywa do pomocy armię. Wozy wojenne, ambulanse, omnibusy, wszelkiego rodzaju wehikuły rozwożą podarunki gwiazdkowe, trzy prywatne poczty dzielnie w pocie czoła w olbrzymiej tej pracy dopomagają, wszystkie domy ekspedycyjne bez wytchnienia pracują i — rok rocznie o każuje się, że wszystkie te siły lokomocyjne nie wystarczają — bardzo wiele przesyłek dopiero w parę dni po świętach dochodzi rąk adresatów.

Na czas przedświąteczny, oprócz całorocznie egzystujących, otwiera się mnóstwo sklepów specyalnie z podarunkami. W sklepach tych na wszystkie towary jest jedna tylko cena, n. p. 1, 2, 3 marki i t. d. Ułatwia to ogromnie zadanie, gdyż kupujący, przeznaczywszy na podarunek pewną kwotę, udaje się do odpowiedniego sklepu i już tylko nad wyborem przedmiotu pozostaje mu się trudzić.

To też teraz, kiedy już święta minęły, Berlin wydaje nam się jak gdyby mu ubyło $^{2}/_{3}$ mieszkańców.

Podczas gdy tutejszy świat muzyczny przez ostatnie tygodnie był pod wpływem uroku muzy wagnerowskiej, która przemówiła do świata z desek opery królewskiej, świat literacki zadrżał na wieść o nowem dziele Ibsena. Zamiast jednak zgryźć twardy orzech, którym obdarzył prasę tutejszą Ibsen, ogłaszając w Niemczech swój najnowszy utwór „John Gabriel Borkmann“, krytycy gryzą się między sobą wzajemnie. Jesteśmy tu w chwili obecnej świadkami jednej z owych namiętnych walk, które tutaj bywają stasznemi co 2—3 lata o nazwisko Ibsena. Jeszcze przed laty 10 Ibsen był jednym z najpopularniejszych autorów w Berlinie. „Młodzi“, nie mogąc swych pięknych chęci stwierdzić czynami, powoływali się na każdym kroku na ojca swego, Ibsena. „Upiory“, „Nora“, „Wróg ludu“ — wszystkie te utwory uważano za objawienie, a każdego przyjezdnego witano na peronie kolejowym pytaniem: „czy jesteś pan za Ibsenem, czy przeciw niemu?“ Przez długi czas we wszystkich kołach literackich i nieliterackich powtarzano dowcip z *Fliegende Blätter*, w którym pewien bankier zagadnięty: *Kennen Sie Ibsen?*“ i przypuszczając, iż słowo „Ibsen“ oznacza czasownik, zapytał się naiwnie: *wie macht man das?* Każdy utwór Ibsena był epizodem, dającym powód do wielkiego przelewu atramentu i nieskończonej kanonady papierowej. To, co się działo po ukazaniu się „Mistrza Solnessa“ i „Małego Eyolfa“, powtarza się co do joty i obecnie. Nie powiem, aby walka teraźniejsza, której „mistrz“ północny przygląda się, jak zwykle, z olimpijskim spokojem, miała wróżyć nowe wawrzyny Ibsenowi, gdyż, jak dotychczas przynajmniej, szala przechyla się stanowczo na stronę przeciwną. Większość krytyków zlękła się nowej symbolicznej łamigłówki; ta konieczność doszukiwania się idei przewodniej w mgławicznym chaosie obrazów, dwuznaczników, aforyzmów, jest nie na rękę recenzentom; przysparza to krytykowi pracy, gdyż publiczność żąda w tym wypadku nietylko oceny, lecz i rozplątania wszystkich supełków symbolicznych. Najzabawniejszem jest, że nikt nie odważył się dać objaśnienia, któreby ogłosił za ostateczne rozwiązanie kwestyi.

Pismo *Berliner Tageblatt* obchodziło w tych dniach 25 rocznicę swego istnienia. Z okazyi tej ofiarował wydawca pisma, p. Rudolf Mosse, poważną sumę 100 000 marek na rzecz funduszu zapomogowego dla członków redakcyi i 100 000 marek na rzecz takiegoż funduszu dla pracowników drukarni.

Rada państwa.

Wiedeń 9 stycznia.

Na dzisiejszem posiedzeniu ukończono debatę nad etatem ministerstwa skarbu i omawiano obszernie sprawę stempla dziennikarskiego. Przy tej sposobności wyłonił się zasadniczy spór konstytucyjny, dotyczący granic, w jakich obracać się ma prawo parlamentu uchwalania budżetu. Poseł Kronawetter postawił tego rodzaju wniosek, że skutkiem niego stoczono naukową dysputę, czy parlament przez zmianę cyfr budżetu — do czego bezwarunkowo ma prawo — ma także prawo znosić pewną istniejącą jeszcze ustawę, stwarzającą pewne źródło dochodów państwowych, czy też ustawa taka tylko inną osobną ustawą zniesioną być może. Przebieg tej jurydycznie nadzwyczaj zajmującej debaty był następujący:

P. Kronawetter żądał przedewszystkiem zmiany ustawy o należytościach. Wydano ją jeszcze w roku 1850 i już wtedy miała charakter prowizoryczny, a pomimo to dziś po 46 latach wciąż jeszcze obowiązuje. Tamuje ona rozwój socyalny na wielu polach, nakłada wysokie opłaty na fundacye dobroczynne i jest pod każdym względem uciążliwą dla ludności. Stempel od podań wynosił początkowo 15 kr. monetą konwencyjną, potem podwyższono go na 30 ct., potem na 36 ct., a od podań wnoszonych do władz politycznych każą płacić 50 ct. Jestto więcej niż połowa dziennego zarobku robotnika na wsi. Wszystkie podatki obrotowe, opłaty od przeniesienia własności, nasze trzy skale stemplowe powinny raz już upaść, skoro stworzyliśmy racyonalny podatek dochodowy.

Co się zaś tyczy stempla dziennikarskiego, to kwestya ta nie powinna dziś już podlegać nawet dyskusyi, prawdziwie postępowy człowiek nie powinien nawet głosować nad tego rodzaju opłatami. Skoro Węgry mogły przed wielu laty już zrzec się tego stempla, skoro myśmy mogli naszym landlordom zniżyć podatek gruntowy o dwa miliony, to możemy także znieść stempel dziennikarski, a nie potrzebujemy się pytać o to, skąd pieniądze wziąć na to. Zdaniem mówcy nie mają racyi ci, którzy utrzymują, że dopóki ustawa o stemplu dziennikarskim nie jest zniesiona, rząd ma prawo pobierać ten stempel, jakkolwiek dochód z niego nie będzie uchwalony w preliminarzu. To jest sofizmat. Podatku, którego izba nie pozwoliła, nie może rząd pobierać, chociaż istnieje ustawa. Rozdział budżetu, nad którym obradujemy, t. j. „stemple, taksy i należytości“, z ogólną sumą 22,087.600 zł. składa się z kilku pozycyi, otóż aby nie było żadnej wątpliwości, stawiam następujący wniosek: „Z preliminowanych dochodów ze stempli, taks i należytości, skreśla izba pozycyę 2.160,000 zł., preliminowaną jako dochód ze stempla od gazet i kalendarzy i uchwala rozdział ten nie w sumie 22.087.600 zł., ale tylko w sumie zł. 19.927 600“.

Prezydent Chlumetzky oświadczył, że nie może jasno zrozumieć wniosku p. Kronawettera. Przedmiotem głosowania ma być pozycya budżetu „stemple, taksy i należytości w sumie 22,087.600 zł.“ — p. Kronawetter wnosi uchwalenie niższej cyfry, to mu wolno i cyfra ta w razie poparcia poddana zostanie pod głosowanie. Ale p. Kronawetter żąda także osobnego głosowania nad pozycyą 8 preliminarza ministeryum finansów. Tymczasem przedmiotem głosowania nie mają być specyalne preliminarze, tylko cały budżet państwowy i ustawa finansowa. Mówca dla tego może poddać pod głosowanie jedynie cyfrę ogólną 22 miliony, względnie niższą cyfrę.

P. Kronawetter dowodzi, że każdy poseł ma prawo wyjmować poszczególne cyfry i żądać osobnego głosowania nad niemi. Zresztą prosi mówca prezydenta, aby zasięgnął w tej mierze opinii całej izby.

Prezydent przyrzeka uczynić to w swoim czasie, zwraca jednak uwagę na to, że specyalne preliminarze są tylko środkiem pomocniczym do wyjaśnienia ustawy finansowej.

P. Steinwender woła: „To jest eskamotowanie całego budżetu. Protestujemy przeciw temu“.

Minister finansów dr Biliński oświadczył przedewszystkiem, że nie chce zajmować się bliżej kwestyą formalną, jestto rzeczą prezydenta względnie izby, musi atoli skonstatować, że dotychczas głosowano zawsze tylko nad pozycyami, zawartemi w ustawie finansowej. Mówca nie podziela zapatrywania, że wykreślenie pewnej pozycyi dochodów musi pociągnąć za sobą niepobieranie tego dochodu. Nie tylko w Niemczech, ale i w klasycznej ojczyźnie parlamentaryzmu, w Anglii, obowiązuje zasada, że przez ustawę finansową nie można zmieniać innych ustaw. Wolno jednak władzy ustawodawczej przez osobną ustawę zmienić lub znieść inną ustawę.

Wolno p. Kronawetterowi postawić wniosek, aby przez specyalną ustawę znieść ustawę o stemplu dziennikarskim. „Nie chcę mówić o tem, czy minister ma prawo pomimo zmiany ustawy finansowej pobierać pewien podatek oparty na istniejącej ustawie, zdaje mi się jednak, że ma on do tego obowiązek, bo obowiązuje go do tego owa ustawa dopóty, dopóki nie jest zmieniona. Ustawa finansowa zawiera cały szereg wydatków i dochodów. Proszę więc wyobrazić sobie, że Izba skreśla nie jedną pozycyę, ale odrzuca cały budżet. Czyż z tego wynika, że minister finansów nie ma prawa ani obowiązku pobierania dochodów. Nie. Między dochodami znajdują się np. dochody z dóbr skarbowych. Czyż w razie odrzucenia budżetu nie wolno ministrowi pobierać dochodów z tych dóbr? (Głosy na skrajnej lewicy: Nie wolno!). Panowie jesteście w błędzie, albo chcieliście powiedzieć, że w takim razie ten minister musi ustąpić i ten rząd musi wyciągnąć z tego konstytucyą wskazane konsekwencye. To pojmuję zupełnie, ale dochody muszą nadal płynąć. Czyż w takim razie nie wolno sprzedawać żyta ani pszenicy zebranej w dobrach państwowych? (Głosy: Wolno, ale pieniędzy za nią nie wolno wydawać). Mówimy teraz o dochodach, a nie o wydatkach. Jest jeszcze mnóstwo innych dochodów, które nawet wbrew woli rządu muszą nadal płynąć. Tak samo ma się rzecz z wydatkami. Choćby Izba odrzuciła budżet, to procenta od długów państwowych muszą być opłacone, urzędnicy muszą otrzymać pensyę itp. Prawo parlamentu uchwalenia lub odrzucenia budżetu nie polega w tem, że wolno zamknąć państwu dochody lub nie wolno robić wydatków państwowych, konsekwencyą odrzucenia budżetu jest tylko to, że nie wolno ich robić temu rządowi albo temu ministrowi.

Otóż, jeżeli panowie skreślicie ten lub ów dochód, to rząd ma nie tylko prawo, ale i obowiązek, pobierać ten dochód dla państwa, ale może sobie powiedzieć: może izba chciała przez to pokazać, że nie jestem jej miłym i wyciągnąć z tego konsekwencye. W żadnem państwie konstytucyjnem nie pojmują inaczej prawa przyznawania budżetu. Zamiar skreślenia tego rodzaju pozycyi byłby pewnego rodzaju wypowiedzeniem wojny rządowi, a na tę wojnę nie zasłużył rząd już z tego względu, że przecież w komisyi oświadczył wyraźnie, iż nie z zasadniczych, ale jedynie z finansowych powodów w obecnej chwili nie może zgodzić się na zniesienie tego stempla, że sam uznaje, że stempel ten musi być zniesiony.

P. Pernerstorfer: Kiedy?

Minister Biliński: Niebawem. Oświadczył także rząd, że zgodzi się na zniesienie tego stempla, skoro tylko będzie mógł zaproponować Izbie inne pokrycie tego ubytku w dochodach.

Kiedy zaś mógł rząd to uczynić? Izba dopiero w ostatnich tygodniach powzięła nagle myśl zniesienia tego stempla, w komisyi omawiano tę sprawę i zanim jeszcze wdrożono jakąkolwiek akcyę w tej kwestyi, powiedziałem, że ze względów naukowych jestem przeciwnikiem stempla dziennikarskiego, ale muszę dopiero pomyśleć o wynalezieniu pokrycia. Skoro zatem rząd zarówno w parlamencie jak i poza parlamentem otwarcie powiedział, że chce usunąć ten stempel, to nie zasłużył na to, aby przy uchwalaniu budżetu wyłaniał się tego rodzaju spór prawnopaństwowy. Proszę więc jeszcze o odrobinę cierpliwości. Stempel dziennikarski istnieje już tak długo, że można być jeszcze trochę cierpliwym — nie będzie to trwało lat, — i dać rządowi sposobność zrobienia wniosków co do pokrycia.

P. Pernerstorfer: Datę oznaczyć.

Minister: Gdybym wiedział, że izba do oznaczonej przezemnie daty uchwali nowy podatek. (Wesołość) Ale ja tego nie wiem. — Nie opłaci się więc zaiste wywoływać sporu prawnopaństwowego i wymuszać reformy, dla której i rząd żywi wielką sympatyę i co do której sam niebawem zrobi izbie propozycyę. Proszę więc przyjąć tę pozycyę tak, jak zawarta jest w preliminarzu.

P. Piniński oświadczył, że co się tyczy samej zasady, jest tak samo postępowym jak p. Kronawetter. W tym kierunku akta sprawy stempla dziennikarskiego są zamknięte — ale nie są zamknięte co do kwestyi, kiedy wprowadzić reformę, przynoszącą państwu ubytek dwóch milionów. Jeżeli dziś będzie pokrycie, mówca bezzwłocznie głosuje za tem, aby od dzisiaj znieść ten stempel. W dalszym toku rzekł mówca, że ustawa o stemplu dziennikarskim może być zniesiona tylko osobną ustawą, a nie można przez sposób, w jaki uchwalony zostaje budżet, znosić pewnej ustawy na rok jeden. Mówca wyraża nadzieję, że nowej izbie zaraz po jej zebraniu się przedłoży rząd wnioski w tej sprawie i w ogóle w sprawie reformy całej ustawy o należytościach.

Także hr. Kuenburg i młodoczech Kramarz oświadczyli, że są zdania, iż istniejąca ustawa może być zniesiona tylko przez osobną ustawę.

W głosowaniu przyjęła izba wbrew wnioskowi p. Kronawettera 104 głosami przeciw 70, wyższą cyfrę dochodu ze stempli, taks i należytości, t. j. sumę 22,087.600 zł.

Hodowla pstrągów.

W jednem z naszych pism specyalnych znajdujemy ciekawe szczegóły o hodowli pstrągów w majątku Antoniego hr. Wodzickiego w Porembie Wielkiej. Przytaczamy poniżej parę ustępów:

Położenie Poremby malownicze, a spokój w przyrodzie, przerywany tylko szumem potoku, zaprasza do wypoczynku po trudach życia miejskiego. Poremba jest stworzoną na ustronie dla letników, gdyż ma wszelkie po temu warunki: bliskość stacyi kolejowej, wyborne górskie powietrze, kąpiel w potoku górskim i możność dostania potrzeb życia w sąsiednim Niedźwiedziu. To też hr. Wodzicki zamierza już w roku przyszłym, jak tylko skończy się dla fabryki giętych mebli kontrakt dzierżawy, założyć tutaj stacyę dla letników, którymi będą niezawodnie przeważnie Krakowianie. Pałacyk, założony przez matkę hr. Wodzickiego, jest typem pięknego i wygodnego pałacyku wiejskiego. Pokoje obszerne, wysokie i w światło obfitujące, mogą pomieścić kilkadziesiąt gości, a obszerne kryte werandy służą za miejsce schronienia i pobytu w razie deszczu. Wszystko pomyślane i rozłożone jak najpraktyczniej, dlatego też nie dziw, że przy serdecznej gościnności gospodarza, goście często witają do Poremby.

Po śniadaniu udało się towarzystwo pieszo do kościoła parafialnego w Niedźwiedziu na nabożeństwo, rozpatrując po drodze teren, na którym się miały odbyć łowy pstrągów.

Kościół w Niedźwiedziu drewniany, skryty między olbrzymiemi odwiecznemi lipami, mającemi do dwóch metrów średnicy. Mimo tego ogromu, drzewa są całkiem zdrowe i jędrne, nigdzie nie dostrzedz śladu zniszczenia lub próchnienia. Lipy te są przedmiotem godnym widzenia. Dorodny piękny lud górski wypełniał szczelnie kościół i cmentarz kościelny i w czasie nabożeństwa śpiewał tak rzewne a zawsze piękne nasze pieśni nabożne.

Kiedyśmy po sumie wracali do Poremby, nie zapomnieliśmy i o Towarzystwie rybackiem.

W południe porobiono przygotowania do łowu pstrągów, a po południu wyruszyliśmy na połów. Łowiono na trzy wędki w potokach Koninice i Porębiance, a wynik był nadspodziewany, złowiono bowiem 206 pstrągów, a mistrzowie sportu pp. Antoni hr. Wodzicki, Karol Albus i Jastrzębski Stanisław mogli być zadowolnieni z połowu. Wieczorem rozłożono (na wzór upolowanej zwierzyny) złowione pstrągi na werandzie pałacu. Były to same pstrągi strumienne, piękne smukłe okazy; pstrąga tęczowego nie było ani jednego, mimo, że hr. Wodzicki przez kilka lat zarybiał potoki dóbr swoich znaczną ilością pstrąga tęczowego. Okoliczność ta utwierdza mnie coraz więcej w nabytem od dawna przekonaniu, iż do podniesienia stanu rybnego naszych potoków i rzek, należy używać jedynie gatunków ryb u nas już zaaklimatyzowanych, a sprowadzanie i przesiedlanie obcych gatunków zostawić przyszłości kiedy obfitość ryb będzie wielką, zwłaszcza, iż nasz pstrąg strumienny przewyższa dobrocią i smakiem gatunki zagraniczne. W czasie łowów, dostrzegłem także, jak wielki zmysł ma lud nasz do wszelkiego rodzaju łowów; jeden ze straży rybackiej wskazywał dokładnie miejsca, gdzie się pstrągi trzymają i ile ich jest w którem miejscu, a nigdy prawie nie chybił.

Wynik łowów był nadzwyczaj pomyślny, złowiono bowiem w ciągu $3^{1}/_{2}$ dni na przestrzeni kilkunastu kilometrów, w trzy wędki 903 pstrągów strumiennych, z których jeden złowiony w bliskości kościoła w Niedźwiedziu, ważył 2 kg. 200 gr.

Wynik ten wprawdzie nadzwyczajny, jest jednak zasłużonym, gdyż Antoni hr. Wodzicki od wielu lat prowadzi wzorowe gospodarstwo rybne w potokach, przez dobra jego płynących zapuszcza corocznie znaczne ilości narybku pstrąga, przestrzega ściśle czasu ochronnego i innych środków przezorności, a trzodkę rybią chroni przed tępieniem i nieprawnem łowieniem za pomocą dobrze zorganizowanej i należycie wynagradzanej straży rybackiej.

Prócz własnych potoków, dzierżawi także kilka rewirów na Rabie, otaczając je równą pieczą i troskliwością. Całe gospodarstwo rybnorzeczne Antoniego hr. Wodzickiego obejmuje obecnie przeszło 80 kilometrów biegu wód i jest największem tego rodzaju gospodarstwem w kraju naszym, zwraca też na siebie uwagę tak swoich jak i obcych, i nie popełnię niedyskrecyi nadmieniając, że sportsmani Anglicy kuszą się już o poddzierżawienie całego gospodarstwa.

Przy tak wzorowem gospodarowaniu, nie wątpię, że ilość pstrągów z każdym rokiem wzrastać będzie, a wtedy trzeba będzie pomyśleć o przyrządzaniu marynat z pstrągów, które z czasem staną się bardzo pokupnym artykułem handlowym do większych miast środkowej Europy.

Po ukończeniu łowów, wypełniała wieczór pogadanka o sprawach rybackich, dla których obecni okazywali wielkie zajęcie i życzliwość, poczem udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz słońce ślicznie wesoło, a ptaki, zamieszkujące park koło pałacyku, tak głośnym witały nas śpiewem, że odeszła mnie chęć snu i wcześnie wyszedłem na świat, aby się nacieszyć i napawać czarem, jaki przyroda naokół roztaczała. Ze zaś do Krakowa wracać musiałem, przeto pożegnawszy gospodarza i podziękowawszy za serdeczną gościnność, podążyłem napowrót do Mszany Dolnej, a stamtąd do Krakowa.

W Mszanie Dolnej zwiedziłem jeszcze fabrykę sardynek rosyjskich Warchanka, założoną przed kilka laty. Warchanek ma fabrykę sardynek francuskich w Izoli, w Istryi, a w Mszanie dla taniości drzewa i robotnika, założył fabrykę sardynek rosyjskich w małych baryłeczkach bukowych. Fabryka prowadzoną jest wzorowo i przerabia ryby zasolone, sprowadzane z morza Północnego i Baltyckiego. Zrazu fabryka dawała znaczne zyski, które jednak wskutek powstania fabryk konkurencyjnych, znacznie zmalały. Obecnie zamierza właściciel sprowadzać ryby świeże, niesolone (od których nie płaci się cła) i tym sposobem podnieść dochody.

Wyrób rosyjskich sardynek jest przemysłem obecnie bardzo rozpowszechnionym. Kraj nasz spożywa corocznie przeszło 60 000 baryłek.

Mały Fejleton.

Lapsusy

Przypadkowe i nieumyślne odstępstwa od prawdy realnej, popełniane tak często przez młodych, niedoświadczonych autorów, trafiają się nie rzadko i u autorów, którzy mają i mogą mieć pretensye do pewnego doświadczenia. Wypadki jednak takie, pochodzące najczęściej z roztargnienia, nie powinny być autorom poczytywane za winę ciężką, tem więcej, że dotyczą one po większej części rzeczy drobnych zewnętrznych, i w wewnętrznem życiu danego dzieła nie odgrywają roli istotnej. Z lapsusów takich dałaby się uwić spora wiązanka, a niektóre z nich w swej naiwnej niekonsekwencyi są wprost komiczne.

I tak jeden z powieściopisarzy, kreśląc jakiś obrazek leśny, użył zwrotu: „siedzące na drzewach głuszce, cietrzewie i kuropatwy.“ Otóż prawdopodobnie autor obrazka w zapale pisarskim zapomniał o tem, że kuropatwa nigdy na drzewach nie siada, i że chyba tylko jakaś wyjątkowo krytyczna przygoda mogła ją aż tam zapędzić.

Inny ze znanych powieściopisarzy przedstawił ziemianina, którego obraczyła zgraja lichwiarzy. Chciwi ci ludzie już mają zrujnować dłużnika, gdy tymczasem tenże otrzymuje olbrzymi spadek.

Można sobie wyobrazić zdumienie wierzycieli, gdy na chwilę przed zapowiedzianą subhastacyą:

„Jerzy dumnie spojrzał na swoich ciemięzców, sięgnął do bocznej kieszeni po pugilares i wyliczył na stole trzydzieści tysięcy dukatów w złocie...“

Olbrzymia to musiała być kieszeń, oraz pugilares, w których taka masa złota pomieścić się mogła!

Odstępstwem od rzeczywistości jest również historya o prosie zawarta w noweli M. Konopnickiej p. t. „Jak sobie Maciek stracha ustroił“.

„Miał chłop tęgie proso — pisze znakomita autorka — wróble mu je żarły“.

To znaczy, że proso zaczynało już dojrzewać.

„Przeszedł tak tydzień przeszły i dwa i już się obróciło na trzeci“.

Tymczasem proso w polu wciąż na pniu stoi.

„Dziewiątego coś dnia (po upływie owych trzech tygodni) siadł Maciek w pościeli“.

I po przebyciu choroby poszedł w pole, gdzie była „taka wiejska złota, cudna jesień“.

„Szeroko, równo okrywały pokosy całe pólko, zagon za zagonem. Bogato świecą czarniawe liście w słońcu, niby czaple pióra, dziwnie się w modrem powietrzu pieniąc. Jedne na drugich leżą, nie widać prawie słomy w tym ułątka, takie proso“.

Pomimo tak długiego pozostawania prosa na „pokosach“, gdy nadeszła zima, przy młóceniu „...ziarno lśniące, czarniawe, dorodne, pryska niby iskry w złotej smudze słońca“.

Każdy jednak, choćby cokolwiek obeznany z uprawą prosa, wie, że jest ono zbożem do sprzętu najtrudniejszem. Skoro tylko wróble „pić“ je zaczynają, gospodarz pilnuje go jak oka w głowie. Nie ścierpi więc ani jednego dnia opóźnienia, gdyż późno zżęte wysypie się i upadnie z kłosów. Dlatego też gospodarze ścinają proso zanim zupełnie dojrzeje i przewożą do stodoły wozami wyłożonymi płótnem, ratując tym sposobem ziarno od „wypłynięcia“. W rzeczywistości z prosa, które „leżało na pokosach, aż do jesieni“, nie zostałoby w kłosach ani ziarnka i zwiezione do stodoły, przydałoby się już tylko na słomę.

Nie gorzej udało się i Hajoście w znanym jej obrazku p. t. „Psinka“.

— „I daj swemu dziecku macochę! — rzekł pan Adam, nalewając świeże kieliszki.

— „Matkę! — wygłosił patetycznie p. Ksawery i duszkiem wypił kieliszek.

— „Doskonały pan masz koniak, rzadko gdzie taki się spotyka! — zawyrokował tonem znawcy“.

Panu Ksaweremu, „znawcy“, pijącemu wyśmienity koniak „duszkiem“, godziłoby się raczej być ekspertem... siwuchy, wiadomo bowiem, iż znawca prawdziwy próbuje wszelkiego trunku szlachetnego, sącząc kroplą po kropli i wprowadzając w grę zmysły smaku, powonienia i wzroku...

Najkomiczniej jednak wypadło to odstępstwo od prawdy realnej w noweli zatytułowanej „Przez bożą fartę“, napisanej przez znaną powieściopisarkę Maryę Rodziewiczównę.

Mówi ona o organiście, który nocą sam naczam lub! wygrywać na organach improwizacye...

„W małych drzwiczkach stary zazgrzytał klucz“.

„Klucznik wpuścił naprzód nowego organistę i wszedł za nim pokasłując“.

„I chce się to panu w ten ziąb w noc tłuc po organach?“ itd.

„Ja się chcę zabawić po swojemu. Zabawię z godzinę i wrócę do domu“.

„Jak pan chce, ja sobie pójdę. Wychodząc furtkę pan zamknie i klucz do proboszcza odniesie“...

„To zaraz zamknę drzwi za wami“.

„Nie trzeba. Niech tak zostaną“ itd.

I dalej:

„Samotny grajek w mroki nawy utkwił zamyślone oczy i dźwięk, jak dreszcz, objął świątynię“.

„Fartka się gniewnie zatrzasnęła. Znowu w farze pustej on, ‚sam jeden‘, ze swojem marzeniem“.

Tak gra i gra samotnik na organach...

Panna Rodziewiczówna każe mu grać do świtu i nic ją nie obchodzi, iż... na organach grać bezwarunkowo nie można bez pomocy „kalikanta“, czyli tego, który dmie w miechy!

KRONIKA.

Lwów 11 stycznia.

Mianowania. Lwowski wyższy Sąd krajowy zamianował praktykantów sądowych: Adama Żmurkę, dr. Mieczysława Wojciecha Szeligę, Leibę (Leona) Marka, Włodzimierza Fedaka, Feliksa Bernarda Narolskiego, Bolesława Jana Haczyńskiego, Emiliana Huzara, Władysława Ignacego Jana Lisowskiego, Filareta Grabowieńskiego, dr. Józefa Mierzeńskiego, Józefa Piątkowskiego, Michała Wierzchowskiego, Jana Jakóba Torońskiego, Karola Tunikowskiego, Władysława Dekieta, Kazimierza Antoniego Zembronia i Wiktora Neumanna, tudzież praktykanta konceptowego Namiestnictwa Dymitra Ludomira Wiktora Ostrowskiego i dr. Stanisława Rybczyńskiego, koncypienta Prokuratoryi skarbu we Lwowie auskultantami sądowymi.

Ojciec św. powrócił już zupełnie do zdrowia, w piątek odprawił Mszę św. i udzielał posłuchań.

Konkurs. Rada zawiadowcza fundacyi śp. dr. Antoniego Lachowicza rozpisuje konkurs na stypendya w kwocie 300—500 złr. dla uczniów i uczennic szkół publicznych a 100—120 złr. dla kształcących się w rzemiosłach dla krewnych fundatora bez różnicy wyznania religijnego. Termin podań do 16 bm. na ręce Wydziału krajowego.

Ślub. We czwartek o godz. 6 wieczór w kościele PP Wizytek w Warszawie odbyły się zaślubiny p. Feliksa Wężyka z Witylina, syna Wilhelma i Julii z hr. Badenich, z Katarzyną hr. Mielżyńską, córką Władysława i Ludwiki z hr. Łubieńskich. J. E. ks. arcybiskup warszawski Popiel w asystencyi ks. prałata hr. Łubieńskiego i monsg. Z. Skarżyńskiego, pobłogosławił młodą parę w kościele, kwiatami i zielenią pięknie umajonym i rzęsiście oświeconym. Prosto z kościoła państwo młodzi udali się do państwa Wacławów Popielów, najbliższych swych krewnych, ażeby z rąk tych jubilatów, którzy niebawem dyamentowe wesele sami obchodzić będą, otrzymać błogosławieństwo i pierwsze życzenia pomyślności. Tymczasem zaproszeni goście licznie zjeżdżali się do domu rodziców panny młodej. Niebawem nastąpiła chwila uroczysta, gdy rodzice przyjmowali państwa młodych chlebem i solą

u progu. W porządku i po starszeństwie, zasiedli wszyscy do stołu.

Toasty, wznoszone stuletnim węgrzynem, następowały po sobie w porządku starodawnym zwyczajem. Najsamprzód więc sędziwy ojciec pana młodego wychylił kielich na zdrowie rodziców i rodziny p. młodej, a hr. Mielżyński, gospodarz domu, zdrowie rodziców i rodziny p. młodego. Nastąpiła cisza wśród wesołej uczty, gdy powstał marszałek hr. Badeni. Słowami jędrnemi, ze zwykłą sobie swadą i pięknym słów doborem, podniósł znaczenie religii dla społeczeństwa i serca każdego człowieka i wychylił kielich na zdrowie tego, którego wszędzie czcić, kochać i słuchać, najmilszym jest naszym obowiązkiem, zdrowie ks. arcybiskupa warszawskiego. Pan Stanisław Tomkowicz podniósł zasługi trzystoletnie członków rodziny hr. Łubieńskich, którzy inteligencyą, sercem i poświęceniem zawsze przodowali, w ręce najstarszego a obecnego przedstawiciela tej familii hr. Tomasza Łubieńskiego. Ten ostatni natychmiast powstał, ażeby odpowiedzieć, a potrącając o zasługi pana wojewody Marcina Badeniego i hr. Władysława w Galicyi, podniósł rozgłos imienia dwóch braci, i pił zdrowie familii hrabiów Badenich, w ręce obecnego pana marszałka. P. Szeliski podniósł liczne zasługi rodziny Potulickich. P. Skórzewski wzniósł zdrowie duchowieństwa. Na ostatku, na prośbę gospodarza Roger hr. Łubieński, wspominając o szczerym afekcie dwóch młodych serc, który tak liczne grono osób z tak dalekich a różnych stron, na tę uroczystość sprowadził, podniósł i wychylił kielich, poświęcony tradycyjnemu toastowi naszemu „Kochajmy się". W późną noc dopiero, liczni goście opuszczali gościnne progi, z niezatartem w sercu wspomnieniem odbytej uroczystości.

Książę Witold Czartoryski, zięć JEks. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, który, jak to donosiliśmy, zachorował był na szkarlatynę, przebył już jej okres gorączkowy i znajduje się w normalnej rekonwalescencyi. Zostaje on pod opieką lekarską doktorów Obtułowicza, Ziembickiego i Gluzińskiego.

Mróz, jak się zdaje, przełamał się już. Wczoraj mieliśmy jeden z najmroźniejszych dni tej zimy. Termometr wskazywał rano — 12° R., a dotkliwość tego mrozu powiększał ostry wiatr północny: Pod wieczór temperatura się podniosła, a dziś rano wskazywał już termometr —8° R.

Wybory do Izby handlowej we Lwowie dały rezultat następujący: Z sekcyi handlowej: I. kategorya — 9 cały okręg: dr. Zdzisław Marchwicki 87 głosów. II. kategorya — 1 okręg (Lwów - Gródek): Baczewski Leopold, 452 gł. Buber Salamon 417 gł. Epstein Maksymilian 484 gł. Fried Ignacy 483 gł. Gubrynowicz Wł. 485 gł. Rusman Ignacy 484 gl. 2-gi okręg (Przemyśl): Strisower Henryk 280 gł. 6-ty okręg (Sambor): Jonasz Maurycy 252 gł. III. kategorya — 9 (cały) okręg: Bauman Mojżesz 971 gł. Z sekcyi przemysłowej: II. kategorya — 9 cały okręg: Piepes Jakób 79 gł. Szczepanowski Stanisław 81 gł. III. kategorya 1 okręg (Lwów-Gródek): Ciuchciński St. 1149 gł. Mayer Natan 714 gł. Niemczynowski uzyskał tylko 437 głosów, więc upadł. 2 okręg (Przemyśl): Sprecher Maurycy 336 gł. Walichiewicz uzyskawszy 115 gł. upadł. 5 okręg (Sanok): Wang Julian 95 gł. 7 okręg (Żółkiew): Długoszewski Bolesław 260 gł. 8 okręg (Kołomyja): Moser Franciszek 197 gł.

Słownik nafciarski. Nafciarze galicyjscy, pragnąc zdobyć techniczne polskie nazwy wszelkich przyrządów w zakres nafciarstwa wchodzących rozpisali za pośrednictwem czasopisma *Nafta* głosowanie na członków komitetu redakcyjnego dla polskiego słownictwa nafciarskiego. W głosowaniu, w którem wzięło udział 135 czytelników *Nafty*, największą liczbę głosów otrzymali pp.: Julian Fabiański, Kazimierz Gąsiorowski, Felicyan Łodziński, Wacław Wolski, i dr. Rudolf Zuber. Ci panowie zatem zajmą się ułożeniem polskiego słownika nafciarskiego. Oprócz wspomnianych, otrzymali jeszcze pp. Józef Młoń 40 głosów, Zygmunt Nowosielecki 24 gł., dr. Stanisław Olszewski 20, Stanisław Nowak 17, Ludwik Zdanowicz 13, Kazimierz Odrzywolski 12 gł. reszta zaś głosów padła na rzecz 48 innych kandydatów.

Kinematograf. W sobotę i w niedzielę produkował się w sali teatralnej przed przedstawieniami wieczornemi, kinematograf, przywieziony przez pewnego młodego Francuza. Wyraz „kinematograf" pochodzi od greckich słów „kinema" ruch i „gr. fo" piszę lub rysuję, oznacza więc przyrząd, rysujący ruchy. Polega on na tem prawie fizyologicznem, iż oko nasze potrzebuje pobudzenia, trwającego co najmniej $^1/_8$ część sekundy, aby módz uchwycić to pobudzenie świetlne. Pobudzeń, a więc i ruchów szybszych, nie widzi oko oddzielnie, lecz składa je sobie razem, a to nazywamy „ruchem". Otóż jeżeli mniej, niż $^1/_8$ część sekundy trwające ruchy każdej pozycyi jakiegoś poruszającego się ciała, lub jakiejś sceny, zdejmiemy fotograficznie na przeźroczystej kolodjonowej wstędze, a potem tę wstęgę będziemy bardzo szybko przesuwali wzdłuż otworu obserwacyjnego, to w otworze tym przesuwane fotografie, jako zbyt szybko i niepochwytnie mijające, nie dadzą nam widzieć się oddzielnie, lecz będziemy widzieli pozornie jedną tylko fotografię, ale pełną ruchu i życia, gdyż wszystkie fazy ruchu przejdą tak szybko przed naszymi oczyma, iż zamiast widzieć ich przesuwanie, widzieć będziemy ruch postaci na fotografiach. Za pomocą silnej lampy żarowej i zwykłych soczewek projekcyjnych można ruchomy obraz powiększyć i rzucić na płótno, a wtedy otrzymamy na płótnie obrazy, przedstawiające różne sceny z życia. Aby ruch był dobrze uwydatniony, musi być uchwycony co $^1/_{15}$ część sekundy, a więc dla sceny, trwającej minutę, trzeba około 900 zdjęć fotograficznych, co wymaga wstęgi, długiej blisko na 20 metrów.

Kinematograf, który oglądaliśmy w tych dniach w teatrze, posiada aparat bardzo dobry, to też obrazy ukazujące się widzowi, wychodzą dokładnie i wyraziście o tyle, o ile jest to rzeczą samego aparatu. Zrobilibyśmy tylko ten jeden zarzut, iż światła jest za mało, o co przedsiębiorca powinien się koniecznie postarać, a wtenczas przedstawienia jego będą miały jeszcze większe powodzenie i obudzą prawdziwy podziw.

Sprostowanie na sprostowanie. Otrzymaliśmy następujące pismo:

Świetna Redakcyo!

Na podstawie § 19 ustawy prasowej proszę o umieszczenie niniejszego pisma.

Zaczepiony i znieważony zupełnie niewinnie przez nieznajomego mi człowieka, nauczyciela ludowego z Borowej góry Alojzego Liskowackiego, widzę się zmuszonym odpowiedzieć na jego w nrze 6 *Przeglądu* z dnia 9 bm. umieszczone sprostowanie.

Odpowiadać na poszczególne punkta tego rzekomego sprostowania byłoby tylko prostą chęcią wbicia w dumę p. nauczyciela Al. Liskowackiego; jest tam bowiem tyle prawdy, ile prawdy jest w jego słowach, że proboszcz lub wikary parafialny obowiązany jest w szkole jednoklasowej trzymać się godzin religii, wyznaczonych przez p. nauczyciela miejscowego lub Radę szkolną okręgową, albo w sofizmacie, że dzieci nie mogły wiedzieć o zapowiedzianej katechizacyi, boć przecie nie one, tylko ich rodzice to zapowiedzenie słyszeli.

Odpowiadam tylko tyle, że pismo ks. Winc. Kinala, proboszcza z Lubaczowa, umieszczone w nr. 291 *Przeglądu* z dnia 18 zm., jest co do słowa z prawdą zgodne i znajdzie swe potwierdzenie w świadectwie całej gminy Borowej góry.

W Lubaczowie dnia 9 stycznia 1897.

Ks Aleksander K Moszyński, wikary z Lubaczowa.

Pani Marya Bielska, kierowniczka zakładu naukowo-wychowawczego, złożyła na moje ręce jako czysty dochód z poranku muzycznego, urządzonego na cele „domów opieki dla młodzieży szkolnej, pozbawionej opieki rodzicielskiej", poruszonych w mej pogadance pedagogicznej dnia 18 listopada z. r. — kwotę 132 zł. 10 ct. Kwota ta, umieszczona na książeczce kasy oszczędności, wręczoną zostanie zawiązującemu się z inicyatywy prezydenta miasta dra Godzimira Małachowskiego „Związkowi rodzicielskiemu", który między innemi ma się zająć także wprowadzeniem w życie owych „domów opieki".

We Lwowie dnia 8 stycznia 1897.

Mieczysław Baranowski
prezes Tow. przyj. uczącej się młodzieży.

Niedorzeczne uchwały. Z Wiednia donoszą, iż onegdaj odbył się tam wiec studencki, na którym przyjęto niedorzeczną uchwałę, aby nie-Niemców na uniwersytety przyjmowano jedynie w pewnych procentowych stosunkach do ludności, aby ich ostrzej pytano przy egzaminach niż Niemców, i wreszcie, aby żydów usunięto zupełnie od pobierania nauk uniwersyteckich.

„Echo", lwowskie Towarzystwo śpiewackie, urządza dnia 2 lutego wieczorek z tańcami w salach „klubu pocztowego".

Z Brzeżan nam piszą: (Nowy szpital.) Od wielu już lat mieścił się szpital tutejszy w szczupłym i niewygodnym domku na przedmieściu Siółko, nie grzeszącem zbytnio korzystnymi warunkami pod względem hygieny.

Przy znacznym napływie chorych, który dzięki staranności prymaryusza szpitala dra Zauderera co roku się powiększał, niepodobna było dać sobie rady dla braku przestrzeni, a racyonalne pielęgnowanie chorych w takim natłoku przedstawiało oczywiście nadzwyczajne trudności. To też prymaryusz szpitala dr. Zauderer czynił usilne starania, żeby temu tak poważnemu niedostatkowi zaradzić radykalnie. Dzięki jego zabiegom właściciele dóbr brzeżańskich powzięli wysoce szlachetną myśl ufundowania nowego szpitala powszechnego. Myśl tę hr. Potoccy zamienili w czyn i skutkiem ich wspaniałomyślności stanął gmach piętrowy na przedmieściu Miasteczko w obszernym ogrodzie, i to nietylko piękny na zewnątrz, lecz nadto wewnątrz urządzony według zasad nowoczesnej nauki i odpowiadający nawet wybrednym wymaganiom. Fundacya nosi imię śp. Izabeli z hr. Potockich Romanowej hr. Potockiej, córki właścicieli Narajowa i Brzeżan, zmarłej w kwiecie wieku. Będzie to pomnik najtrwalszy na jaki zdobyć się może rodzina obowiązków obywatelskich świadoma dla swego członka, a nagrodą za ten dar hojny to wdzięczność cierpiącej ludności.

Popłoch w cyrku. W Birmingham podczas przedstawienia w cyrku zdarzyła się groźna scena. Miały się odbywać produkcye z tresowaną lwicą. Jak zwykle, poskramiacz wszedł do klatki, w której się odbywają produkcye, i kazał przynieść klatkę z lwicą, poczem miano obie klatki połączyć i lwicę wpuścić do klatki poskramiacza. Ale kiedy posługacze nieśli klatkę z lwicą, nagle zgasło światło elektryczne i w cyrku zapanowała zupełna ciemność. Posługacze przerazili się i upuścili klatkę na ziemię, a klatka upadła tak ciężko, że się drzwi od niej otworzyły, a lwica wyszła na wolność. Wszystkich obecnych ogarnął strach paniczny, którego niepodobna opisać. Na szczęście lwica pobiegła nie w stronę widzów, lecz do przedziału na konie, gdzie rzuciła się na grzbiet jednego konia i zaczęła go rozszarpywać. Kwik biednego zwierzęcia był tak żałosny, iż we wszystkich słyszących go krew zastygała. Inne konie pourywały się i rozbiegły się po cyrku. Kiedy wreszcie znowu zajaśniało światło elektryczne, ukazał się oczom wszystkich ohydny widok: lwica pożerała już swoją ofiarę. Poskramiacz, wiedząc, że lwica jest zanadto rozwścieczoną, aby ją zapędzić do klatki, wystrzałem z pistoletu położył ją trupem na miejscu.

Podczas popłochu wydarzyły się jeszcze inne wypadki: Jeden z widzów zbliżył się do klatki z lwem, a ten wyciągnął łapę i pokaleczył nieostrożnemu plecy; nadto wybiegł słoń z klatki i dopiero z trudem udało się go ująć.

Bohaterka. W mieście meksykańskiem Sinaloa stoją na placu Pasco de la Reforma pomniki mężów, zaszczytnie odznaczonych w dziejach Meksyku. Mieszkańcy Sinaloi postanowili dodać jeszcze do tego zbioru pomnik najzasłużeńszego z dzieci swego miasta. Głosowanie powszechne miało rozstrzygnąć o wyborze. W rezultacie jednakową liczbę głosów otrzymali: jenerał Antonio Rosales i Augustyna Ramirez. Jenerał odznaczył się niejednokrotnie na polu bitew, czem jednak zasłużyła sobie na taki hołd niewiasta meksykańska? Czy także odwagą w boju lub wybitnym udziałem w życiu społecznem? Nie! Przeciwnie, była ona ubogą, cichą i skromną mieszkanką Sinaloi, ale za to podczas wyprawy napoleońskiej na Meksyk (1864 do 1867), gdy mąż jej, Severino Rodriguez, zginął w bitwie pod Mazatlan, wysłała przeciwko najezdnikowi wszystkich synów swoich, a miała ich 13 tu. Oto imiona tych młodzieńców: Librado, Francisco, José, Maria, Manuel, Victorio, Antonio, Apolonio, Juan, Juan Batista, Francisco II, Jesue i Rodriguez. Synowie ci co do jednego polegli na polu walki i dlatego miasto Sinaloa chce oddać hołd matce, która takie wychowała dzieci.

Z Chicago piszą: Na półkach tutejszych księgarń ukazało się „Quo vadis" Henr. Sienkiewicza w przekładzie angielskim. („Quo Wadis". A Narrative of the Time of Nero. By Henryk Sienkiewicz. Translated from the Polish by Jeremiah Curtin. Little, Brown et Co.) Krytyka amerykańska stawia to dzieło nader wysoko, podziwia siłę obrazowania i dokładność charakterystyki owych czasów, zarzuca jednak zbytnią drobiazgowość w opisach scen i charakterów. Za wielką zasługę naszemu pisarzowi poczytuje to, że pisząc o czasach, tak pełnych legend cudownych, potrafił uniknąć w swojem opowiadaniu wszelkiej cudowności, przytem wyraża nadzieję, że Sienkiewicz, dotknąwszy raz tematów, obchodzących ludzkość całą, pójdzie dalej w tym kierunku i w całej pełni okaże przed światem wielki swój talent. Wreszcie porównywując „Quo Vadis" ze słynną powieścią Wallace'a „Ben Hur" wyraża się, że wobec takich scen, jak walka Ursusa z bykiem, sceny, opisywane w powieści pisarza amerykańskiego, wydają się bardzo blademi.

Sara Bernhardt poznała widocznie dobrze podczas pobytu swego tutaj słabą stronę plutokracyi amerykańskiej, otworzyła bowiem w Nowym Jorku pod własną firmą wspaniały skład kapeluszy damskich i ma ogromny odbyt, panie bowiem nowojorskie, mające dosyć pieniędzy do wyrzucenia, śpieszą tłumnie do tego nowego przybytku mody, aby mieć zaszczyt włożenia na głowę cacka, wybranego w Paryżu rączkami „boskiej Sary".

Problematyczny zapis. Podobny zapis, jaki Wiktor hr. Baworowski zostawił dla zakładów naukowych w Galicyi, zrobił niedawno bogacz, senator Hornemann na rzecz miasta Hannoweru. Majątek zapisany przezeń miastu wynosi na razie tylko 40.000 mk., ale w testamencie położony jest warunek, że miastu dopiero wtedy wolno będzie zrobić użytek z zapisu, gdy kapitał wzrośnie do sumy 100 milionów mk. Ponieważ owe 40.000 mk. złożone są na 3 procent, przeto suma 100 milionów mk. uzyskaną będzie dopiero za 250 lat. Ale testament nawet wtedy nie pozwala jeszcze miastu rozporządzać całą tą sumą, lecz tylko jej procentami. Procent zaś uzyskany w 251-ym roku od tych 100 milionów ma znowu stanowić kapitał podstawowy dla uzyskania jeszcze drugich stu milionów. Dopiero gdy suma dwustu milionów marek ogółem będzie osiągnięta, ma pójść cały ten olbrzymi majątek na potrzeby miasta, a potrzeby te — tak mówi testament — będą wówczas takich sum wymagały.

Wyjątek z powieści. Przyczynek do sprawy przestrzegania czystości języka:

(Rzecz niniejsza napisana jest po polsku — Przyp. Red.).

„W eleganckim buduarze koloru griperl, wśród zapachu wiolet, na kozetce pompadur leżała piękna pani Lili. Jej gustowne matine z satę merwejl, ugarnirowane blondynami Brüssel i Szantiji, jej fantastyczna kuafiura harmonizowała z wonią wiolet de parm, unoszącą się w powietrzu. i pluszem na portyerach buduaru.

Dzień był pochmurny. Piękna pani ziewnęła. Wtem lokaj anonsował.

— Pan X.

— A, pan X! Prosić...

Wszedł młody X., tire a katr epęgl. w czarnym smokingu.

— Dzień dobry, szanowna pani. Pod koniec wczorajszego rautu u prezes de Makalińsky, pani miała migrenę?

— Mersi, teraz już że me port a merwej. Czytałam...

— A, może przerwałem dolcze far niente?

— O nie! siesta moja trwać będzie dalej w tak przyjemnej sosiete. A co słychać nowego? Czy mała Y. już zaręczona?

— Jeszcze nie. Dziś w klubie spotkałem konsula paragwajskiego, który mi anonsował, że zaręczyny tej pti bebe Y. odłożono.

— Dlaczego?

— Rob de fiansaj nie nadeszła od Worta na czas z Paryża, a mała Y. w swoim żur de fet koniecznie chce być w tualecie wer grenuj brode de szantiji awek le riuban larż o kuler mow szanżan e stęsele. Do widzenia.

— Już pan odchodzi?

— Tak.

— A demę!

— Nie wiem napewno. Szarże kinskisi (pokazuje na gardło).

Młodzian odchodzi. ."

Zmarli. W Krakowie Marya z Jawornickich Jankowska w 44 r. życia. We Lwowie Piotr Ślepowron Głaczyński w 93 r. życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 8 R., w poł. — 7 R. Bar. 772 Spada. Śnieg.

Rozwiązanie szarady: „kukurydza" nadesłali w dalszym ciągu: Jadwiga Niedźwiedź z Wojniłowa, Zofia Truszkowska z Jasła, Jakób i Rozalia Goldberg z Brzeżan, Zofia Blada z Suczawy, Marya Glazer z Przemyśla, Semeneo z Jatyczowa, Klementyna Dolińska z Międzyhorzec; ze Stanisławowa: Adryanna i Blanka Eckhardt, Witołd Wierzbowski; K. Bielski z Malczyc, Józef Chandler z Przeworska, Jadwiga Kozłowska z Lipy, Stefania Sołtysowa z Rudnik, Roman Gąsowski z Ustrzyk dolnych, Amalia Grüchaut z Sanoka, Ryszard Löwenherz z Kobylanki, Feliks Gutowski z Nadbrzezia, Antonina Budzyńska z Giełdy, Izabella Grudzińska z Zbaraża, K. Micewska z Krakowa, Justyna Jendlowa z Grybowa, Tekla Żankowska z Przemyśla, Szymon Barszcz z Tarnobrzega, Helena Błocka z Klicka, Felicya Wolińska z Tarnopola, J. Reichert z Dolinian, Robert Nabielak z Przeworska, Jan Pinterheffer z Winogrodu leśnego, E. Remiszowska z Woronienki, zaś ze Lwowa: Emilia Chatkowska, Witold Wiśniewski, Paulina Podhalicz.

Z rozmów poufnych.

Panna i pan trochę już podtuptany siedzą sobie na kozetce i gruchają. Pan dopiero co oświadczył się o rękę panny i został przyjęty. Po przejściu pierwszego wrażenia pan pyta:

— Teraz, droga panno Barbaro, niech mi pani odpowie na zapytanie: czy pani jest przesądna?

— Czy jestem przesądna? A na cóż panu ta wiadomość?

— Zobaczy pani później. Teraz proszę tylko odpowiedzieć na pytanie.

— A więc nie, nie jestem przesądna.

— A, to bardzo dobrze, to bardzo dobrze.

— Dlaczego?

— Teraz już mogę pani powiedzieć otwarcie, że jesteś moją... *trzynastą* z rzędu narzeczoną.

Szczyt pochwały. Premiera kończy się, Publiczność wychodzi z teatru. Ktoś na ulicy pyta znajomego:

— No, jakże tam nowa sztuka?

— Hm — rzecze bywalec z miną człowieka który już wiele widział — niezła, niezła, mogłaby być gorsza...

Repertuar teatralny. Dziś w poniedziałek koncert pani Jadwigi Mierzwińskiej, zakończy „Popychadło", komedya w 4 aktach Jana Szutkiewicza. Jutro we wtorek „Marta czyli kiermasz w Ryszmondzie", opera w 5 aktach Flotowa. Pierwszy występ panny Janiny Korolewicz oraz pp. Aleksandra Myszugi i Juliana Jeromina. We środę po raz pierwszy „Cyrkowcy" (Circusleute), komedya w 3 aktach Schoenthana. We czwartek „Łucya z Lammermooru", opera w 5 aktach Donizetti'ego, pierwszy występ Jadwigi Camilowej, drugi występ Aleksandra Myszugi, Juliana Jeromina i Gabryela Górskiego. W piątek po raz drugi „Cyrkowcy". W sobotę po południu dla młodzieży szkolnej „Karpaccy górale", dramat w 5 aktach Korzeniowskiego, wieczorem „Faust", opera w 5 aktach Gounoda. Występy pani Konarskiej rozpoczną się przy końcu stycznia.

Dr. Henryk Klarfeld otworzył kancelaryę adwokacką we Lwowie przy ulicy Kościuszki l. 5.

Literatura i sztuka.

* **„Jaś i Małgosia"**. Śliczna ta opera zapełniła salę teatralną w sobotę i w niedzielę szczelnie. Były to dwa ostatnie przedstawienia tej opery w dotychczasowej obsadzie. To też publiczność oklaskiwała wykonawców po każdym akcie tak gorąco, że czuć było w tym aplauzie jakby jakieś serdeczne pożegnanie, z tymi figurami, do których tak się przywykło, które tak się już dobrze nauczyło rozumieć. I zdawało się, że i wykonawcom udziela się coś z tej serdeczności rozstania. Grali i śpiewali znakomicie. Znakomitymi byli i p. Górski jako ojciec i pani Kasprowiczowa jako czarownica, która w subtelny komizm postaci potrafiła miejscami wlewać bardzo dużo demoniczności. Doskonałym był i Jaś w interpretacyi panny Bohus, a partnerka jej panna Kozłowska sekundowała jej jeszcze dzielniej niż zwykle. Jej też głównie dotyczyło owo pożegnanie z publicznością. Osobliwie wczoraj wszyscy ci, którzy częściej chodzą do teatru, doznawali uczucia żalu za tem, że ta Małgosia w interpretacyi panny Kozłowskiej nie będzie ich już bawić ani zajmować swoim dźwięcznym głosem i swoją naiwnością w strachu, radości i psotach. To też pewien smutek tkwił w owacyi, którą zrobiono wczoraj pannie Kozłowskiej podaniem bukietu z orkiestry, osobliwie zaś w jej odpowiedzi na tę owacyę. Oto artystka z ofiarowanych jej kwiatów oderwała kilka i rzuciła je między publiczność, jakby na pamiątkę.

Panna Kozłowska odjeżdża podobno ze Lwowa i kto wie kiedy do nas powróci. Po tem zaś jak śpiewała partyę Małgosi, której nauczyła się dopiero we Lwowie, żałować należy, że Lwów nie będzie miał sposobności usłyszeć jej teraz w takich partyach, jak Traviata, która jest jej partyą popisową, a za którą zbierała oklaski i uznanie u tak wrażliwej na muzykę publiczności, jaką jest publiczność włoska.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 9 stycznia.

(Z.) Berlińska giełda prze obecnie pełną siłą pary ku zwyżce. Patryotyczne hasła są tam obecnie podniętą spekulacyjną: trzeba przygotować grunt dla pomyślnej konwersyi pruskich i niemieckich konsoli. Jakoż eskont prywatny, który jeszcze dziesięć dni temu był w Berlinie niemożliwie wysoki, spadł prawie o połowę, a gotówki coraz więcej na targu. I nasza giełda chciałaby pójść za przykładem berlińskiej koleżanki, o ile więc siły jej na to starczą, wytwarza korzystną tendencyę, tem bardziej, że i u nas jest w projekcie kilka, jakkolwiek niewielkich operacyj finansowych, a spekulanci liczą na to, że przecież i dla Austryi musi zawitać era wielkich konwersyj. Dalszą podnietą zwyżkową było poprawienie się kursu walorów tureckich na giełdzie paryskiej, ujemnie natomiast oddziaływało małe ożywienie targu. Udział spekulantów w obrotach dzisiejszych był bardzo słaby, to też i zwyżki kursów są stosunkowo nieznaczne.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 376·—, węgierskie 414·50, Anglobanki 157·50, Uniony 300·—, Bankvereiny 259·75, Länderbanki 251·50, Ludwiki 217·75, Czerniowieckie 293·50, Elbethale 277·—, Renta papierowa 101·70, srebrna 102·—, austryacka złota 123·—, austr. renta wal. kor. 100·90, węgierska złota 122·05, węgierska renta wal. kor. 99·70, dukat 5·66, 20-frankówka 9·52—, marki 11·74, ruble 1·27¼.

Wiedeń 9 stycznia. Spirytus 15·50—15·70. (Cena przeciętna z całego ubiegłego tygodnia 15·25—15·45).

§ **Z kolei**. Lokalne szlaki kolejowe Hliboka-Sereth i Ickany-Suczawa bukowińskich kolei krajowych, mianowicie szlak Hliboka-Sereth z przystankami Kamenka i Berlince i stacyami Tereblestie i Sereth, zaś szlak Ickany-Suczawa z przystankami Kąpiele-Suczawa, Stare Ickany i Ulica Krzyżowa i ze stacyą Suczawa otwiera się, a to szlak Hliboka-Sereth pociągiem l. 4252 a szlak Ickany-Suczawa pociągiem l. 4553 dnia 1 stycznia 1897 r. dla publicznego użytku.

Stacye Tereblestie, Sereth i Suczawa otwiera się dla ruchu ogólnego (t. j. dla ruchu osobowego i towarowego z wykluczeniem materyi wybuchowych), przystanek Berlince tylko dla przesyłek pełnymi wagonami, zaś przystanki Kamenka, Kąpiele Suczawa, Stare Ickany i Ulica Krzyżowa li tylko dla ruchu osobowego i ograniczonego przewozu pakunków.

Z dniem 1 stycznia 1897 weszła w życie nowa taryfa, zeszyt 2, dla bezpośredniego przewozu osób i pakunków między Rosyą i Węgrami.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 11 stycznia. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego zdał prezes Jaworski sprawę o krokach poczynionych w sprawie aresztowanych przez władze węgierskie włościan ze Sromowio Wyższych. Mowca interweniował w tej mierze u prezesa gabinetu węgierskiego i u węgierskiego ministra sprawiedliwości, a p. Wielowiejski jeździł na miejsce i przekonał się, że aresztowani włościanie traktowani są w więzieniu dobrze i że toczy się przeciw nim śledztwo o gwałt publiczny i rabunek. Węgierski minister spraw wewnętrznych w piśmie do p. Jaworskiego zapewnił, że każe sprawę ile możności przyśpieszyć. Następnie obradowało Koło nad etatem ministerstwa handlu. P. Rapoport poruszył sprawę oddawania wielkich robót publicznych przedsiębiorcom włoskim, którzy sprowadzają obcych robotników, i żądał reformy pocztowych kas oszczędności. P. Włodzimierz Gniewosz skarżył się na szorstkie postępowanie urzędników pocztowych i na trudności, jakie stawia rząd zakładaniu nowych stacyi telegraficznych. P. Weigel wykazywał potrzebę uregulowania nieeraryalnych urzędów pocztowych. P. Dawid Abrahamowicz domagał się utworzenia izby handlowej w Tarnopolu, a także p. Rutowski domagał się utworzenia czwartej izby handlowej w Galicyi, nie wymieniając jednak w którem mieście ma ona się znajdować. Nadto żądał mówca powiększenia liczby inspektorów przemysłowych. P. Chrzanowski domagał się większego poparcia przemysłu tkackiego w Galicyi. Na mówców w pełnej Izbie wyznaczono pp. Rapoporta i Weigla, poczem przystąpiono do obrad nad etatem kolei państwowych. P. Sokołowski przemawiał przeciw wszelkiemu podwyższaniu taryf, omawiał wadliwości obecnych rządów kolejowych, gdzie urzędnicy i słudzy Polacy zdani są na łaskę Niemców referentów, nieprzychylnie dla nas usposobionych. Nadto domagał się mówca, aby urzędnicy magistratów doznawali na kolejach takich samych ulg jak urzędnicy państwowi. P. Eugeniusz Abrahamowicz żalił się na zbyt wysokie taryfy na kolejach lokalnych. Rząd powinien wpłynąć na zarząd tych kolei, aby obniżyły taryfy. Na mówcę w pełnej Izbie wyznaczono prezesa Jaworskiego.

Wiedeń 11 stycznia. Arcyksiążę Rainer obchodzi dziś siedmdziesiątą rocznicę urodzin. Na intencyę jego odbyło się wczoraj uroczyste nabożeństwo, na którem byli wszyscy stojący tu załogą oficerowie obrony krajowej. Następnie składali arcyksięciu gratulacye dostojnicy wojskowi, uczeni i artyści.

Berlin 11 stycznia. Rosyjski pełnomocnik wojskowy Engaliczew odjechał do Paderbornu, aby wręczyć stojącemu tam załogą ósmemu pułkowi huzarów pruskich portret cara.

Paryż 11 stycznia. Do „Ajencyi Havasa" donoszą z Madrytu, że według nadeszłych z Nowego Yorku depesz, wódz powstańców kubańskich Maximo Gomez oświadczył prezesowi komitetu rewolucyjnego, iż dalszy opór jest niemożliwy.

Peszt 11 stycznia. Tutejsze stowarzyszenie demokratyczne zwołało na wczoraj zgromadzenie ludowe, na którem miano omawiać sprawę ks. Stojałowskiego. Obecni na zgromadzeniu socyaliści nie dali jednak nikomu przyjść do słowa, wyprawiali ogromne hałasy, w końcu wywołali bójkę skutkiem czego musiano zgromadzenie rozwiązać.

Bombaj 11 stycznia. Dżuma rozszerza się w sposób przerażający. W Karaczi umarło 52 osób. Od soboty zachorowało 220 osób, z tych 214 umarło.

Praga 11 stycznia. W miejscowości Zelezna znaleziono zamordowanego żandarma Bukahra. Mordercy dotychczas nie wykryto.

Kair 11 stycznia. Wbrew przeciwnym doniesieniom, konstatują urzędownie, że stan zdrowotności w Egipcie jest doskonały i że od września nie było ani jednego wypadku cholery.

Odessa 11 stycznia. Na wiosnę odpłynie stąd nowa ekspedycya rosyjska do Abisynii.

Madryt 11 stycznia. Dziennik *Epoka* potwierdza oficyalnie, że Maksymilian Gomez oświadczył przed kubańskim komitetem w Nowym Yorku, że pomiędzy powstańcami na Kubie panuje najzupełniejsza demoralizacya. Z powodu braku ludzi, chcących dalej walczyć, jest niemożliwem utrzymanie dalsze kroków wojennych. Pogłoska, że Maksymilian Gomez zamierza się poddać, potwierdza się ponownie.

Wiedeń 11 stycznia. Izba posłów obraduje dziś dalej nad budżetem ministerstwa handlu. Minister br. Glanz podniósł w długiej mowie polepszenie się naszego bilansu handlowego i wzrost eksportu, co świadczy, że nasz handel znajduje się w zdrowych warunkach.

Wiedeń 11 stycznia. Najjaśniejszy Pan przyjął dziś na audyencyi marszałka krajowego hr. Badeniego.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 10 stycznia. A. Gorayski z Moderówki. Wł. Gniewosz z Kontów. W. Barański z Doliny. A. hr. Męciński z Dukli. Wł. hrabia Russocki z Brodów. M. Komarnicki z Jarosławia. St. hr. Zamoyski z Wysocka. Włodz. hr. Russocki z Pasieki. J. Gnoiński z Cieszanowa. P. Stachiewicz i dr. M. Ichheiser z Krakowa. D. Pogłodowski z Sudkowic. Z. Piszczkowski z Mielnicy. E. br. Schell i H. Fenz z Złoczowa. E. Goldstein z Katowic. J. Steinitz z Wrocławia. R. Lenoble z Berlina. Z. Winter z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 10 stycznia. M. Hulimkowa z Chłopiatyna. M. Lewandowski z Rekliniec. S. Lustig z Wiednia. O. Sala z Wysocka. Dr Kuryłowicz z Stanisławowa. Fr. Słotwiński z Kijowa. M. Kwiatkowska z Rosyi. M. Jezierski z Wołynia. N. Lippoczy z Thalya. D. Korkus z Wiednia.

HOTELE K. JANOWICZA
BELLEVUE i METROPOL
we Lwowie.

Przyjechał dnia 10 stycznia. Prof. S. Smolka z Krakowa. Dr. N. Auscher z Kielec. N. Mehler z Petersburga. K. Sławiński z Błażowej. F. Goldenberg z Lackiego. Dr. Dworski z Przemyśla. Ks. Oleksiński z Jarosławia. K. Kcotell z Grudna. A. Gaatowski z Rosyi. M. Gottlieb z Drohobycza. R. Hartman z Czerniowiec. K. Janoszewski z Mostów. F. Schneider z Mostów. J. Lindl z Brodów. F. Bolangeon z Paryża.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności

Lwów dnia 11 stycznia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217·50 do 220.50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 292.— do 295.— Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 390.— do 400.—, Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 208.— Tow. kredytowy wagonów w Sanoku 250.— do 280.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.10 do 110.80, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.80 do 100.50, 4 proc. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.70 do 98.40 4 proc. los. w 42 i pół latach 97.60 do 98.80, 4 proc. los. w 56 lat 97.40 do 98.10.

11)

ZBRODNIARZ-ARTYSTA

przez

Rodryga Ottolengui.

Przekład z angielskiego E. Żmijewskiej.

(Ciąg dalszy).

— Mr. Barnes — rzekła Emilia — przed chwilą ofiarowywałeś mi ten guzik, sądzę, żem go zgubiła. Nie chciałam przyjąć prezentu od osoby, którą mam przyjemność znać tak krótko; lecz jesteś pan przyjacielem mr. Mitchela, a że nie życzy sobie, aby moja podobizna była w rękach obcych, przyjmuję zatem pański dar wdzięcznie.

Było to najzupełniej niespodziewanem dla Barnesa. Ofiarując miss Emilii ów guzik, pewien był, że go nie weźmie, bo musiałaby się przyznać, że guzik zgubiła. Teraz chciała go posiadać jako dowodu. Nie wiedział co powiedzieć, lecz w chwili tej Mitchel zbliżył się do nich i rzekł:

— Jakże ci się podoba mój przyjaciel, Emilio?

— Mr. Barnes mówił mi o rzeczach bardzo interesujących i ofiarował mi nawet prezent — odparła, podając guzik Mitchelowi.

Detektyw dostrzegł na twarzy tego ostatniego tryumfujący uśmiech.

— Cieszę się z tego, Emilio — rzekł on — gdzieżbyś ty znalazła taki ukłon, wszędzie wzbudzasz hołdy. Czy wiesz, mr. Barnes nie chciał mi dać tego guzika dziś rano. Domyślasz się zapewne, czemu go o niego prosiłem?

— Bo jest kopią z mojego portretu.

— Nieinaczej. Mr. Barnes, pozwól mi dołączyć moje podziękowanie do dzięków miss Remsen. Pojmujesz pan teraz dlaczego nam chodzi o tę drobnostkę?

Mr. Barnes pojmował aż nadto dobrze. Widział, że go wzięto w pułapkę i że wyjść z niej nie może bez skandalu, a Mitchel spojrzeniem przypomniał mu obietnicę: iż nie będzej niepokoił miss Remsen. Detektyw zaczynał już wymyślać sobie w duchu, iż się tak lekkomyślnie zobowiązał, gdy nagle służący zawołał:

— Mr. Alfons Thauret.

Detektyw przypomniał sobie zaraz to nazwisko Francuza, który wysiadł na stacyi Stamford.

Barnes wpatrywał się w twarz Mitchela podczas, gdy tak niespodzianie zameldowano gościa i zdawało mu się, że dojrzał na niej pewne niezadowolenie. Czyżby ci dwaj znali się ze sobą? A może byli nawet wspólnikami?

— Mr. Mitchel, pozwoli pan sobie przedstawić mr. Thauret'a — rzekła Dora.

— Miałem już przyjemność poznać tego gentlemana — odparł Mitchel; ukłoniwszy się sztywno, podszedł do Emilii, chcąc jakby przeszkodzić aby jej nie zaprezentowano gościa.

Było to, naturalnie, niemożliwem, co podrażniło najwidoczniej mr. Mitchela. Emilia wstała i podała rękę panu Thauret, następnie przedstawiła go p. Barnes.

— O! mr. Barnes! miło mi spotkać pana znowu — rzekł Francuz.

— Jakto! pan znał już wpierw mr. Barnesa, — zawołała Dora zdziwiona.

— Któż nie zna mr. Barnesa, słynnego detektywa?

Powiedział to bardzo grzecznym tonem mr. Barnes jednak przypuszczał, że miał jakiś powód ukryty do obwieszczania tak głośno jego stosunków z policyą. Chciał może zamknąć mu dalszy wstęp do tego domu. Jeśli takim był jego zamiar, to celu chybił, bo Dora przyjmowała najmniej była tą rewelacyą zachwycona.

— Detektyw! — zawołała — więc pan doprawdy jesteś wielkim — mr. Barnes?

— Jestem wprawdzie detektywem, ale nie „wielkim" bynajmniej.

— O tak, tak, nie wypieraj się pan, jesteś wielkim. Czytałam o tem zdumiewającej sprawie wykrycia Pettingilla. Ciekawa też jestem, czy pan złapie tego, który okradł damę w pociągu, jadącym z Bostonu.

— Zkąd pani wie, że to był mężczyzna? — podchwycił mr. Barnes, rad z takiego obrotu rozmowy.

— O! to nie była kobieta z pewnością. Czytałam o tem w porannych dziennikach. Kupiłam aż trzy, aby żadnego szczegółu nie opuścić. Kobieta nie potrafiłaby tak zręcznie wszystkiego obmyśleć i plan uskutecznić.

— Bardzo ciekawa sprawa — odezwał się mr. Thauret — i ja, ma się rozumieć, czytałem o niej w dziennikach, ale oprócz tego jechałem w tym samym pociągu, jak to pan wie zresztą, mr. Barnes. Mnie pierwszego zrewidowano. W moim kraju rodzinnym nie ma tak zawiłej sprawy, którejby policya nie wykryła. Ciekaw też jestem, jak pan sobie z tem poradzi. Złodziej widocznie przebiegły. Czy i pan go za takiego uważasz?

Mr. Mitchel usunął się z Emilią w odległy kąt salonu i zajęty był żywą rozmową, Barnes widział jednak, że nie traci ani jednego słowa z ogólnej konwersacyi.

W zwykłych okolicznościach, detektyw nie byłby mówił o sprawie tak ważnej wobec człowieka, którego mógł o wspólnictwo w zbrodni posądzać, ale okoliczności były wyjątkowe. Miał przed sobą dwóch ludzi, którzy, wedle wszelkich poszlak, byli wplątani w zbrodnię, czy też w „zbrodnie", które detektyw badał. Obaj odznaczali się niezwykłą zręcznością i zimną krwią, to też należało wobec nich trzymać się ich systemu: bezczelności.

— Złodziej jest bardzo przebiegły, ale nie tak dalece, jak mu się zdaje — mówił Barnes tak głośno, aby go mr. Mitchel mógł słyszeć.

— Dlaczego?

— Przypuszcza on, mówię „on", bo podzielam zdanie miss Remsen: kradzież tę spełnił mężczyzna...

— Jakże się cieszę, że pan moje zdanie uwzględnia — zawołała Dora wesoło.

— Otóż złodziej sądzi, że mnie wyprowadził w pole — ciągnął dalej mr. Barnes. — Przypuszcza, że zarządzając rewizyę wszystkich pasażerów, uczyniłem to dla wykrycia klejnotów, wówczas gdy celem mojem było jedynie — wykrycie złodzieja.

— A jakim sposobem?

— Wskazówką miało mi być jego zachowanie się przy rewizyi. Wiem już, kto owe klejnoty ukradł.

Było to oświadczenie śmiałe, zwłaszcza, iż mr. Barnes w gruncie rzeczy pewnym tego nie był. Chciał tylko zobaczyć wyraz twarzy obydwu domniemanych przestępców przy tych słowach; nie jednak na tym fortelu nie zyskał, bo mr. Mitchel jakby nic nie słyszał, a Francuz zawołał:

— Brawo! Brawo! Jesteś pan zręczniejszy jeszcze od słynnego Lecoq'a. To majstersztyk prawdziwy! Urządzasz pan rewie podejrzanych i przestępcę oczyma chwytasz. To metoda wspaniała, a taka przytem prosta!

— Mr. Thauret — odezw ła się Dora — wyśmiewasz mr. Barnesa, to nieładnie. Mr. Barnes powiada, że wie, kto klejnoty ukradł? ja mu wierzę.

— *Pardon*. I ja mu wierzę. Nie drwiłem wcale. Zachoiej mi pan jednak powiedzieć, mr. Barnes, w jaki sposób złodziej brylanty ukrył. Wszak to były brylanty, nieprawdaż?

— Brylanty i inne klejnoty. Ale pozwól mi się pan wpierw zapytać: jakbyś pan je ukrył, będąc na jego miejscu?

Tym razem wymierzony cios nie chybił. Francuz zmieszał się. Nie podobało mu się widocznie to porównanie ze złodziejem; szybko jednak odzyskał przytomność i odparł:

— Wie pan, właśnie się nad tem zastanawiałem. Zapewne w razie danym zrobiłbym głupstwo, ale teoretycznie znalazłem sposób pewny.

— Sposób, dzięki któremu mógłby ukryć klejnoty w miejscu niemożliwem do wykrycia, a jednak dla niego samego dostępnem po pewnym czasie.

— Nie inaczej. Zdaje mi się, że mój plan wcale nie zły. Dzienniki powiadają, że klejnoty były nieoprawne. Byłbym je powtykał w mydło kolejowe. Niktby ich tam nie szukał, a choćby je nawet znaleziono, nie stanowiłoby to żadnej przeciwko mnie poszlaki. Potem wróciłem, wziąłbym mydło, a z niem klejnoty.

— Plan bardzo nieszczęsny.

— Dlaczego?

— Byłeś pan pierwszą osobą zrewidowaną. Miałem pana na oku, aż dopóki nie opuściłeś pociągu. Byłoby pana trudno powrócić z New-Yorku do Stramford i dostać się do wagonów, stojących już na bocznych relsach, bez wzbudzenia podejrzeń. Zresztą, choćbyś pan i tego dokazał szczęśliwie, to jeszczebyś się przekonał, że mydło i zastąpiłem je innem, zanim przystąpiono do rewizyi drugiego pasażera.

Uśmiech na twarzy mr. Mitchela świadczył, że słyszy i że rad jest z przebiegłości detektywa. Francuz ramionami wzruszył i rzekł wesoło:

— Ot, widzi pan, nie tęgi byłby ze mnie złodziej. Zresztą był pan jeszcze futerał. Zapomniałem o nim zupełnie. Nie można ukryć w mydle — futerału.

— Ale można go wyrzucić przez okno i wywieźć w pole tego, który go podniesie.

— Pan jesteś bardzo przenikliwy, mr. Barnes — rzekł Thauret z pewnem zakłopotaniem jak się zdało detektywowi — ale jak pan myślisz: gdzie też złodziej skarb ten ukrył?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Manieckigo i Spółka Hotel Żorża. Zarządca W. Hodak.